

Warsztaty literackie – pokłosie

W ręce czytelników oddajemy specjalny, literacki numer „Informatora GKF”, owoc warsztatów prozatorskich zorganizowanych przez Gdański Klub Fantastyki dla młodzieży z gimnazjów i szkół średnich. Projekt otrzymał dofinansowanie Miasta Gdańska w konkursie dotacji na rok 2011. Udało nam się przekonać komisję konkursową, że edukacja szkolna nie ćwiczy w odpowiednim stopniu umiejętności pisania prozy, w związku z czym młodzi ludzie zainteresowani tym kierunkiem rozwoju skazani są na samodzielne ćwiczenia metodą prób i błędów. Założeniem warsztatów organizowanych przez GKF było udzielenie profesjonalnego wsparcia w budowaniu podstaw warsztatu pisarza.

Bezpośrednia promocja warsztatów polegała na wydruku i rozwieszaniu plakatów w szkołach Wrzeszcza, Zaspy i Przymorza. Ponadto rozesłano prośbę o rozwieszenie plakatów informacyjnych do gdańskich bibliotek publicznych. Udział był całkowicie bezpłatny. O przyjęciu decydowała kolejność zgłoszeń. Zainteresowanie przekroczyło nasze najśmielsze oczekiwania – w ciągu zaledwie kilku dni od rozwieszenia plakatów mieliśmy już komplet dwudziestu uczestników.

Szkolenie prowadziła Magdalena Kaczmarczyk, zaprzyjaźniona z Gdańskim Klubem Fantastyki, zawodowo nauczycielka w szkole społecznej, a prywatnie miłośniczka Tolkiena i organizatorka klubu literackiego dla gimnazjalistów. Magda zapaliła się do pomysłu, starannie przygotowała konspekty i zrealizowała zajęcia, wkładając w nie mnóstwo serca, czasu i zaangażowania. W jednej z sesji, o nazwie „Spotkanie z mistrzem”, wzięła udział Ewa Białołęcka, prezentując zagadnienia warsztatowe z punktu widzenia doświadczonego pisarza.

Szkolenie zorganizowano przy wsparciu klubu osiedlowego „Maciuś I”, który udostępnił sale na dwadzieścia pięć godzin zajęć. Warsztaty obejmowały pięć sesji. Na każdej z nich uczestnicy poznawali wyodrębniony temat z zakresu warsztatu pisarza (w części teoretycznej) oraz brali udział w ćwiczeniach (w części praktycznej). Następnie ich zadaniem było przygotowanie w domu krótkiej pracy z wykorzystaniem wiedzy wyniesionej ze spotkania (np. zaprojektowanie postaci). Powstające w ten sposób „wprawki” miały być podstawą do napisania krótkiego opowiadania. Nie było ograniczenia tematyki: w szczególności nie wymagaliśmy, aby przygotowywane utwory mieściły się w ramach fantastyki.

Spośród dwudziestu uczestników do ostatniej sesji dotrwało dwunastu, a sześć osób przygotowało opowiadania, które – po przygotowaniu redakcyjnym i korektorskim prezentujemy w niniejszym „Informatorze GKF”.

Zbiór otwiera *Gayatri* Alicji Anand. Jest to proza realistyczna, choć opowieść o młodzieńczej miłości młodego hindusa do tajemniczce Europejki ma w sobie magiczny klimat. Tekst jest dojrzały, świetny językowo i narracyjnie, klarowny kompozycyjnie. Napisany jest z wrażliwością i wyczuciem, nie ma w nim niepotrzebnej dosłowności – opisów mógłby pozazdrościć Alicji niejedyn pisarz. Anna Cholewczyńska pisze o sobie, że szczególnie zakochana jest w epickich bataliach o wolność. W *Białym pokoju* ilustruje taką walkę w wersji

bardziej kameralnej, eksplorując zagadnienie psychologicznych konsekwencji eksperymentu genetycznego. Mateusz Hirsz podejmuje podobny temat w konwencji fantastyki sensacyjnej. W jego *Obławie*, opowiadającej o dyskryminacji i podziałach społecznych, znajdziemy mnóstwo akcji i gadżetów technologicznych. *Parter* Adriana Kazanowskiego jest wizją życia pośmiertnego, reminiscencją „opowiadań anielskich” Mai Kossakowskiej. *Grajek* Joanny Mielcarskiej jest najbardziej zwartym kompozycyjnie tekstem wydawnictwa. Na kilku zwięzłych stronach autorka zawiera epizod w konwencji grozy, w którym bohater okazuje się być kimś zupełnie innym, niż się to początkowo zdaje. Zbiór zamyka jedyny utwór fantasy w zestawie: *Prawo, by być prawdziwym* Jana Rybickiego. Choć autor deklaruje się jako fan C.S. Lewisa, klimat opowiadania przypomina raczej George’a Martina. Jest to opowiadanie przygodowe, emocjonujące i sprawne kompozycyjnie, z puentą ilustrującą siłę marzeń i wiary.

Celem warsztatów literackich było pokazanie, że w pisaniu prozy bardzo przydatna jest wiedza teoretyczna, a niezbędne – ćwiczenia praktyczne. Jednocześnie chodziło o zaakcentowanie, że choć przygotowanie tekstu wymaga dużo pracy, to warto uwierzyć w siebie i wykonać ją, by osiągnąć ostateczny efekt. Efekt ten widzimy na kolejnych stronach niniejszej publikacji. Sześć opowiadań zamieszczonych w tym zbiorze to bez wyjątku teksty debiutanckie. Przed autorami jest sporo pracy, ale pierwszy krok mają już za sobą. Od nich samych zależy, jak dokąd dojdą w świecie prozy. Jestem jednak przekonany, że zachęceni nie poprzestaną na tym, co napisali do tej pory, i jeszcze o nich usłyszymy.

Michał Szklarski

Treść

3	Alicja Sein Anand	<i>Gayatri</i>
13	Anna Cholewczyńska	<i>Białe pokój</i>
25	Mateusz Hirsz	<i>Obława</i>
47	Adrian Kazanowski	<i>Witamy na parterze</i>
53	Joanna Mielcarska	<i>Grajek</i>
57	Jan Rybicki	<i>Prawo, by być prawdziwym</i>

Alicja Sein Anand

Gayatri

Alicja Sein Anand – siedemnastolatka na zabój zakochana w Indiach. Wielbicielka literatury pięknej i dalekich podróży, zdeklarowana realistka z nagłymi przyrzućwami miłości do świata. Jej codzienność opiera się na odkrywaniu własnej tożsamości i poszukiwaniu ukrytego sensu. Choć pisze od niedawna, coraz częściej myśli, że tworzenie prozy niezwykle się jej podoba.



1.

Nigdy, przynigdy nie pragnąłeś jej mieć. Nie była przedmiotem, nie była kimś, kogo można posiąść i zniewolić jak zwykłą, słabą kobietę. Nie przypominała statecznych gospodyń czy frywolnych dzierlatek umiejących tylko plotkować, haftować i szyć. Stanowiła zagadkę, nęcącą i kuszącą, a jednak zbyt groźną, by dążyć do jej odkrycia. Nie potrafiłbyś zamknąć jej w domu, nawet w otoczeniu służby czy gromady dzieci równie jasnych i długowłosych jak ona. Nie umiałbyś, a może wcale byś tego nie chciał.

Zawsze wydawało ci się, że Gayatri jest niczym cień; pojawia się znikąd i trwa, niezmiennie, bez końca, stając się niemal częścią obscurnego pomieszczenia. Wciąż w czerwonym sari, tym samym lub innym, nie miałeś pojęcia, nie obchodziło cię to – gdy na nią patrzyłeś, nic cię nie obchodziło. Stanowiła ozdobę, egzotyczny akcent, idealnie współgrający z zieloną papuzką siedzącą na drewnianej żerdzi. Nie przypominała klasycznych piękności, ale miała w sobie coś, co sprawiało, że przyciągała twoją uwagę.

Za każdym razem, gdy zajmowała zacieniony kąt baru, milczała, a jej oczy przywodziły na myśl lód; niebieskie, o spojrzeniu mrozącym krew w żyłach. Włosy miały barwę ognia, a usta – płatków róż, wąskich, ale miękkich i wilgotnych, jakby pokrytych kropelkami rosy. Czasami pozwalała sobie na uśmiech lub dwa, lecz każdy z nich kwitł jedynie na wargach, nie obejmował reszty bladej, ale gładkiej i zadbanej twarzy. Twoim zdaniem ten uśmiech był jak sen – ulotny i pozostawiający w pamięci zaledwie mętny zarys. Sądziłeś, że ona cała mogłaby uchodzić za marzenie.

Nie miałeś racji, Dhiraj, za to byłeś naiwny i posiadałeś duszę cholernego romantyka.

2.

Miałeś piętnaście lat, kiedy spotkaliście się po raz pierwszy. Przez długi czas nie pojmowałeś, kim dla ciebie jest. Nie rozumiałeś, dlaczego w jej obecności twoje serce zaczyna szybciej bić, a kończyny miękną, jakby ktoś pozbawił je mięśni. Nikt nie wyjaśnił ci, czemu drzysz i oblizujesz usta, kiedy długi szal sari zsuwa się z jej ramion i odsłania brzuch. Czemu pocisz się, kiedy płomienne włosy przez przypadek odkrywają szyję czy śnieżnobiałą skórę

dekoltu. Dlaczego oddychasz szybciej, obserwując zarys jej piersi czy kostkę oplecioną złotą bransoletką.

Czasami myślałeś, że rzuca na ciebie czar, że przyzywa cię, mami, sprawia, że nie możesz oddychać. Czujesz się jak w gorączce, jakby palił cię żar, jakby żywy ogień trawił kolejno każdą część twojego istnienia. Coś się zmieniło, kiedy znajdowała się w pobliżu. Coś się kończyło – może dzień, a może dzieciństwo, które traciłeś stopniowo od momentu, w którym umarła twoja matka. Bałeś się tego. Nie znałeś tych odczuć. Nigdy wcześniej nie doświadczałeś tak naglącej i niemal bolesnej potrzeby.

Zżerała cię zazdrość, kiedy widziałeś, jak twoja wybranka każdej nocy wychodzi z baru z innym mężczyzną. Obserwowałeś jej zmurzone powieki i ten chód, tak charakterystyczny, zapewniający o pewności siebie. Drażniło cię to, że tak łatwo się im oddawała. To, że pozwalała, by kolejne wilgotne dłonie dotykały jasnej skóry jej ud, obrysowywały kształt piersi i kontury twarzy. Nie umiałeś opędzić się od tych obrazów, chociaż sprawiały ci ból. Nienawidziłeś jej wtedy, a może nienawidziłeś siebie, ponieważ nie potrafiłeś jej zatrzymać.

To dziwne, w końcu i tak nie miałyby szans. Gayatri nie posłuchałaby przecież dziecka.

3.

Nauczyłeś się radzić sobie z pragnieniem pewnego wieczoru, kiedy, nie pohamowawszy zapędów, postanowiłeś za nią pójść. Pod osłoną nocy podążałeś po śladach tymczasowych kochanków. Przygryzając wargi, coraz głębiej zapuszczałeś się w mrok. Kroczyłeś bezszelestnie, lekko, wiedziony instynktem i nęcony obietnicą nabrzmiewającą w powietrzu niemal tak szybko, jak podniecenie. Śledziłeś ich, a właściwie śledziłeś ją, Gayatri, i to wystarczyło, by twoja wyobraźnia doprowadziła cię do obłądzenia. Nastoletni umysł podpowiadał, co może się stać, jeśli ona cię dostrzeże. Oszalałeś wtedy, wiesz? Byłeś szalonym, naiwnym gówniarzem.

Na drżących patykowatych nogach dobiegłeś aż do drzwi, za którymi zniknęli dosłownie przed chwilą. Wyteżyłeś słuch, ale nie usłyszałeś ani jej, ani tym bardziej jego – jednego z tych brudnych, owłosionych mężów nierobiących sobie nic z wieczystej przysięgi. Tłumiąc w sobie pogardę i wstręt, podszedłeś do okna. Zrobiłeś to cicho i ostrożnie, choć zarówno ona, jak i on byli zbyt zajęci sobą, by usłyszeć twoje kroki. Przysunąłeś twarz do zimnego szkła. Wpatrzyłeś się w ciało, które tyle razy sobie wyobrażałeś. Miałeś wrażenie, jakbyś je znał. Na pewno lepiej niż mężczyzna obchodzący się z nim szorstko i brutalnie.

Wtedy właśnie, zastanawiając się, czy potrafiłbyś dotykać ją lepiej, po raz pierwszy doświadczyłeś magii. Obserwując szybki i pozbawiony płynności ruch ciała, poczułeś nieznaną dotąd ciepło. Jakieś obce i niestosowne, a jednak tak przyjemnie rozlewające się po podbrzuszu. Zsunąłeś dłoń wzdłuż tułowia, aż pod churidar, i pozwoliłeś, by tempo ich oddechów nadawało jej rytm. W tym momencie napotkałeś wzrok Gayatri – tak wyniosły, jak gdyby kobieta była dumna z tego, że w pewnym sensie daje ci rozkosz. Uśmiechnęła się kąciakiem ust, kiedy ciebie ogarnął strach.

A potem uświadomiłeś sobie, że chyba się zakochałeś.

4.

Nigdy więcej nie odważyłeś się jej śledzić. Bałeś się. Nie tylko tego, że znów cię nakryje, lecz także tego, że nie zrozumie, wykpi, potraktuje jak dziecko, którym zresztą byłeś, choć tak uparcie starałeś się temu zaprzeczać.

Radziłeś sobie sam, mając w pamięci jej nagie ciało poruszające się zwinnie pod masywną sylwetką brodacza. Jego ciemna skóra kontrastowała z jasnym odcieniem jej skóry, czarne włosy spoczywały dookoła rumianej twarzy i kleiły się do wilgotnych ust. Dłonie kobiety leżały nieruchomo na plecach kochanka, jako jedyne sygnalizując całkowity brak namiętności. Tylko oczy, wpatrzone w twoje brązowe tęczy, wyrażały prawdziwe emocje.

Nigdy wcześniej ani później nie wydała ci się równie piękna. Nigdy wcześniej ani później nie dostrzegłeś, że pomimo wszystkich wad jest właśnie tą kobietą, której byłbyś gotów oddać życie. To takie banalne, Dhiraj, takie wyświechtane, puste, jak wszelkie nadużywane frazy prawiące o wielkiej miłości. Ale ty w to wierzyłeś, wierzyłeś przez cały czas, kiedy myślałeś o nieco zbyt małych piersiach i udach objających się o męskie biodra. Wierzyłeś, kiedy przypominałeś sobie pot lśniący na białych pośladkach. Wierzyłeś, gdy tak bardzo pragnąłeś z nią być. Nawet nie na stałe, nie, chociaż na chwilę, by zaledwie jej zasmakować.

Niestety, na razie musiałeś zadowolić się tymi wczesnymi wieczorami, kiedy siedziałeś naprzeciwko niej, kilka stolików bliżej baru, i piłeś mango lassí. Cały czas zerkałeś na nią dyskretnie, niemal spode łba. Miałeś wrażenie, że to widzi, że karmiąc zieloną papużkę, wręcz unosi kąciki ust, tak delikatnie, ledwo dostrzegalnie, a jednak zbyt wyraźnie, by nie wychwyił tego wzrok zakochanego chłopca. W tych momentach usiłowałeś odnaleźć w jej oczach tamten żar, tamten wyraz, który widziałeś podczas podglądania. Nie udało ci się. Znow były zimne, obce, całkowicie nieprzeniknione i – jak ci się wydawało – puste. Takie jak zawsze, prawie zawsze, zawsze prócz tego jednego dnia.

I jeszcze krótkiej chwili kilka miesięcy później, do której bałeś się sięgać pamięcią.

5.

Wszystko uległo zmianie dopiero wtedy, gdy ukończyłeś szesnaście lat. Był to zapewne zbieg okoliczności, ponieważ nie sądziłeś, by Gayatri zauważyła, że nagle stałeś się starszy. Nie zmężniałeś, nosiłeś ten sam strój i w dalszym ciągu nie rosła ci broda. Pojedyncze włoski tuż nad górną granicą ust były zbyt mało widoczne, by szumnie określać je wąsami. Piegów, siniaków i otarć nabytych podczas gry w piłkę nadal miałeś w bród. Zdecydowanie byłeś takim samym chłopcem, jak wcześniej. Zmienił się jedynie twój głos, brzmiał bardziej męsko, dojrzałej niż przed miesiącem. Nie wierzyłeś jednak, by coś takiego zrobiło na niej wrażenie.

Podeszła do ciebie wtedy, tego wyjątkowego dnia, i dosiadła się jak gdyby nigdy nic, naturalnie i bez zbędnych słów, tak po prostu. Założyła nogę na nogę, a ty mimowolnie przypominałeś sobie, jak jasna i gładka jest jej skóra. Oblałeś się rumieńcem, niczym dzieciak czy tchórz niepotrafiący stawić czoła rzuconemu przez nią wyzwaniu. Przecież prowokowała cię, kusila, nie nachalnie, nie, raczej subtelnie, ale i wyraźnie, tak, byś nie mógł tego przeoczyć. Nie uśmiechała się, tylko patrzyła ci w oczy w bardzo intrygujący sposób. Oblał cię zimny pot, coś dziwnie zatrzepotało w żołądku.

– Pomożesz mi? – spytała w hindi, kiedy już się uspokoiłeś i opanowałeś drżenie rąk.

Gdy mówiła, jej wąskie usta wyglądały o wiele ładniej, niż z daleka. Nigdy wcześniej nie byliście tak blisko. Nie wahając się i nie myśląc o konsekwencjach, kiwnąłeś głową na znak, że tak, oczywiście, pomożesz jej, w końcu marzysz, by coś was połączyło. Nie zareagowała radością, tak jakby doskonale wiedziała, że się zgodzisz.

– W takim razie chodź – dodała i ręką wskazała drzwi.

A ty poszedłeś, bo przecież ją kochałeś. Poza tym nie oszukujmy się, Dhiraj. Co tak naprawdę miałeś do stracenia?

6.

To miał być łatwy zysk. Zaniesiesz komuś małą paczkę, a Gayatri da ci to, czego pragniesz od tak długiego czasu. Bez ryzyka, bez strachu, bez grzechu, bez winy. Zwykła transakcja, taka sama, jak wszystkie te, które przeprowadzała z innymi mężczyznami. Kochałeś ją, to fakt, więc nie podobało ci się, że traktowała cię jak jednego z klientów. Ale jednocześnie tak bardzo potrzebowała z nią być. Tylko przez tę jedyną, wyjątkową noc, przez krótką chwilę, dzięki której zatrzeseś w pamięci obraz białej, gori, w objęciach starszego Hindusa.

I zaniósłeś. Po prostu poszedłeś tam, zapukałeś do drzwi, pozwoliłeś się prze-szukać, zanim zaprosili cię do holu, by sprawdzić zawartość zawiniątka. Po paru minutach mogłeś wyjść. Nie pamiętałeś nawet, jak dokładnie wyglądał umięśniony mężczyzna i gdzie znajdował się ten budynek. Twoje myśli zajmowała jedynie perspektywa upojnej nocy. Wstydziłeś się, tak bardzo się wstydziłeś, że zacząłeś traktować Gayatri przedmiotowo. A jednak nadal twierdziłeś, że darzysz ją miłością. Nie zwykłym pożądaniem, nie obeszładniającym pragnieniem, nie. Miłością. Po prostu... jak mógłbyś nie skorzystać z okazji?

Gdy wszedłeś do małego lokum, serce tłukło ci się w piersi tak, że bałeś się, iż gori posądzi cię o lęk. Nie chciałeś wyjść przed nią na niedojrzałego i niedoświadczonego. Miałeś zaledwie szesnaście lat, zbyt mało, by wiedzieć cokolwiek na temat intymnych kontaktów. Musiałeś grać. Nieudolnie i niezdarnie, tak, ale na tyle odważnie, że nie starczyło jej sumienia, by bezlitośnie cię instruować. Prowadziła cię subtelnie, łagodnie, byś w ogóle się nie zorientował. I nie zorientowałeś się. Skupiałeś się na tym, że była miękka i ciepła, jasna i delikatna. Może gdzieś trochę zbyt drobna, w niektórych miejscach zaś zbyt pełna, lecz i tak cudowniejsza niż we wszystkich twoich marzeniach.

Tak, w dalszym ciągu uosabiała ucieleśnienie twoich snów. I tak, w dalszym ciągu ją kochałeś.

7.

Chciałbyś powiedzieć, że na ten krótki moment twoje serce zapomniało, jak bić. Ziemia się zatrzymała i na kilka minut przestała krążyć wokół Słońca. Ludzie zamarli i w centrum wszechświata znajdowaliście się tylko wy – ty i Gayatri – tak idealnie złączeni, stanowiący jedność w obliczu duchów, bogów i przeznaczenia. Zakłęci przez czas, tak by ten cudowny moment trwał tyle, ile cała wieczność. Dopasowani, wybrani, skazani na siebie przez los. Tak, chciałbyś powiedzieć właśnie to. Ale każde z tych sformułowań jest zbyt przesycone patosem, byś sam naprawdę w nie uwierzył.

To się po prostu stało. Bez ognia, bez rozkwitających kwiatów i bez spadających gwiazd. Zależało ci jednak na Gayatri zbyt mocno, byś nie podniósł tego wydarzenia niemal do rangi cudu. Uważałeś, że to była najpiękniejsza chwila, jakiej kiedykolwiek doświadczyłeś. Wydawało ci się. Ale uległeś zakochaniu i nikogo nie powinno dziwić, że tak absurdalnie podchodziłeś do sprawy. Zachowywałeś się, jakby od tego momentu wszystko się zmieniło: nie tylko twój stosunek do Gayatri, nie tylko ty, lecz także ludzie dookoła i twoje relacje ze szkolnymi kolegami.

Czułeś się przy nich jak mistrz, jak wtajemniczony, roztaczający przed uczniami wizję świętej ceremonii. Ruda gori stanowiła obcy ład, który jedynie wybrany, czyli ty, mógł odkryć i odnaleźć na niebezpiecznym, ciemnym morzu. To nie tak, że traktowałeś kobietę jak trofeum czy upragniony dowód swojej męskości. Wręcz przeciwnie. Po prostu byłeś młody i zbyt niedojrzały, by czasem nie zachowywać się jak mały, głupi chłopiec. Nawet wtedy, gdy chodziło o Gayatri.

Swoją drogą, Dhiraj, nie wydawało ci się, że ona też wtedy zapomniała, iż jeszcze nie jesteś dorosły?

8.

Nie skończyło się na jednej nocy. Odkąd poznałeś smak jej ciała, przychodziłeś co tydzień, zaraz po lekcjach, i brałeś od niej paczkę, by zanieść ją tam, gdzie wskazywała informacja zapisana na małym skrawku papieru. Nigdy nie dostarczałeś niczego dwa razy do tego samego domu; może po to, by żaden adres na stałe nie wyrzył się w twojej pamięci. W końcu zrozumiałeś, że to, co robicie, było złe. Zawartość paczek była zła. Czasami nawet, kiedy leżałeś w jej łóżku, czekając, aż opadnie podniecenie i usłyszysz znajomy, rozkazujący głos, pewna dziwna myśl przychodziła ci do głowy. Wydawało ci się bowiem, że zła jest sama Gayatri.

Ale to szybko mijało, jeszcze szybciej niż uczucie niesmaku, jaki wzbudzała w tobie wiedza, że zanim pojawiałeś się u niej każdego z tych dni, w taki sam sposób odwdzięczała się innym mężczyznom. Rozumiałeś to – rozumiałeś, że to jest jej praca, jej zawód, jej wybór, a ty nie masz najmniejszego prawa, by prawić jakiegokolwiek morały. Nie znaczyłeś dla gori zupełnie nic. Stanowiłeś kolejny pionek na czarno-białej, lśniącej szachownicy – planszy oczyszczonej z kurzu łzami ronionymi przez wszystkich tych, którzy wcześniej, przed tobą, przegrali, gdyż ulegli jej urokowi. Czułeś to gdzieś pod skórą, niby pojmowałeś, raz na jakiś czas, ale za mocno cię fascynowała, byś uwierzył męskiej intuicji.

Poza tym tak bardzo ją kochałeś. Wmawiałeś sobie, że łączy was pokrewieństwo dusz, że jesteście sobie przeznaczeni, że musieliście już spotkać się w innym życiu i doświadczyć wiecznej miłości. Twierdziłeś, że skoro nie rozłączyła was nawet śmierć, nic nie powinno was rozłączyć. Łudziłeś się. Tak naiwnie, tak płytko, tak do bólu młodzieńczo i całkowicie idiotycznie. Traciłeś zdrowy rozsądek, bo zaślepiało cię pożądanie. Zazdrościłeś nawet barowej papudze, ponieważ Gayatri zawsze siadała obok niej i mówiła w jakimś obcym, nieznanym ci języku.

Zazdrościłeś, bo przecież tobie nie powiedziała nawet, skąd pochodzi.

9.

Im dłużej przebywałeś z gori, tym częściej starałeś się ją obserwować. Mimo braku obiektywizmu zauważyłeś, że zachowuje się inaczej niż kobiety, które znasz. Sprawiała wrażenie bardziej męskiej, zbyt pewnej siebie, by odnaleźć się w hinduskiej społeczności. Niewielu twoich rodaków uważało ją za piękną, chociaż wielu korzystało z jej usług. Twierdzili, że jest niewpokorna, zbyt butna i wulgarna, by nadawać się na żonę. Nie lubili jej. Niektórzy widzieli w niej Angielkę i wywlekali na wierzch dawne uprzedzenia. Chociaż nosiła indyjskie ubrania, sprawiała wrażenie nierzeczywistej, jakby była tu przypadkiem, gdzieś pomiędzy celem podróży, a miejscem, z którego wyruszyła. Stała się częścią baru i twojego życia, ale nie miasta i społeczeństwa.

Lubiłeś widzieć ją na tle suchego piasku, w otoczeniu dzieci i drzew, gdy podążała w stronę swej niewielkiej posesji. Jak rodowita Hinduska narzucała na głowę i ramiona cienki materiał dupatty, by ochronić się przed słońcem. Bez słowa mijała siwych starców i młodych Sikhów posyłających jej zaciekawione spojrzenia. Czasem przystawała na moment i opierała się o któryś pień, a potem unosiła głowę i przez dłuższą chwilę patrzyła w chmury. Później zamykała oczy i trwała tak, czekając na kolejny powiew wiatru. Nie zwracała uwagi na hałaśliwe dzieci biegające dookoła i żebrzące o pieniądze. Nigdy nic im nie dawała. Przynajmniej nie wtedy, gdy wiedziała, że ją obserwujesz.

Czasami, siedząc w dusznej sali lekcyjnej i marząc o kolejnym spotkaniu, starałeś się narysować jej twarz. Miękkim ołówkiem na żółtej kartce papieru uchwylić i oddać jej rysy. Kreśliłeś prosty, smukły nos, te wąskie usta i okrągłe, duże oczy, kolorem przywodzące na myśl sople lodu. Nigdy nie umiałeś pozbyć się tego porównania. Gayatri po prostu kojarzyła ci się z lodową królową, czarodziejką, która zgubiła swoją baśń. Jakaś ukryta kapłanką hołdującą nieznanym wierzeniom sławiącym śnieg i naturę. Nigdy się nie opalała, nigdy nie pozwalała, by bezlitosne promienie przyciemniły jej skórę chociaż o ton – zawsze była blada, znacznie bledsza niż ci twoi znajomi, którzy urodzili się na północy. Rude włosy sprawiały, że wyglądała na jeszcze jaśniejszą.

Nie pomyślałeś, że może to właśnie dlatego roztaczała wokół siebie taki urok? Może zakochałeś się, ponieważ podświadomie wiedziałeś, że jest zbyt inna, zbyt odległa, byś mógł być z nią naprawdę.

10.

Pochodziła z Europy. Nie, nadal ci nie powiedziała – nie zdradziła się nawet jednym słowem – a ty zbyt mało wiedziałeś o świecie, by rozpoznać jej charakterystyczny akcent. Po prostu któregoś dnia, kiedy wyszła do łazienki, a ty na chwilę zostałeś sam, zauważyłeś kolorowe pocztówki. Obejrzałeś je, nie czytając, i dostrzegłeś na fotografiach zupełnie obcy świat. Niektóre obrazki przedstawiały osobliwą wieżę, inne – dziwaczny, okrągły teatr, a jeszcze inne – nowoczesny pociąg, niemal tak ładny, jak nowe delhijskie metro. Rozpoznałeś jednak tylko przepiękną katedrę, wysoką i strzelistą, lekką, ze smukłymi, wspaniałymi oknami. Ojciec kiedyś powiedział ci, że takie budowle znajdują się w Europie.

Nie znałeś nikogo prócz niej, kto nie byłby Azjatą. Europa stanowiła odległy, całkowicie egzotyczny kontynent. Nie miałeś pojęcia, gdzie właściwie leży i jak tam jest. Tylko ta architektura, te cudowne kościoły tak bardzo zapadły ci w pamięć. Gayatri przypominała ci właśnie coś tak wyjątkowego: nieznanego, nieodkrytego, ale jednocześnie zbyt kuszącego, by nie ulec wyłącznie z uwagi na tę obcość i niezgodność z kanonem piękna twojej kultury. Uznawałeś ją bowiem za coraz bardziej atrakcyjną. Nie dostrzegałeś już jej wad, nie widziałeś ich, skupiałeś się na tej jasnej cerze i ruchach w niczym nieprzypominających cnotliwej panienci.

Im mocniej się do niej przywiązywałeś, tym częściej z tobą rozmawiała. Na początku nie mówiła nic, jedynie wydawała polecenia i oświadczała, że zrobiło się już późno, więc powinienes wrócić do domu. Potem zaczęła opowiadać o swoich drobnych pragnieniach i o tym, jak minął jej dzień. Jeszcze później rozprawiła o słońcu, o deszczu lub o nadchodzącej suszy. Narzekała na nieuprzejme zachowanie starego, bezzębego barmana. Kreśląc na twojej klatce piersiowej niewidoczne linie, wspominała o ostatniej podróży, podczas której odkryła, że śnieg pada także w Indiach.

Łudziłeś się, że zaczyna ci ufać i już niedługo pokocha cię tak, jak ty ją pokochałeś. Nie sądziłeś, iż jej przemiana ma jakiś inny powód. Nie przyszło ci do głowy, że to może być początek końca.

11.

Zorientowałeś się, że coś jest nie tak, kiedy pewnego popołudnia, zaraz po twoim przyjeździe, ktoś zaczął dobijać się do jej drzwi. Nie pukał, nawet nie stukał głośno – uderzał w nie pięścią tak, że nie zdziwiłbyś się, gdyby w drewnie zostały widoczne wgłębienia. Gayatri zamarta z dłońmi zaplątanymi w twoją kameez, a potem zrobiła się jeszcze bledsza, niż była normalnie. Oddychała coraz wolniej, aż w końcu z jej ust przestał wydobywać się jakikolwiek dźwięk. Wiedziała, kim są ludzie stojący pod frontowymi drzwiami. Miała też w sobie przynajmniej tyle przyzwoitości, by kazać ci ukryć się w łazience.

Zbyt zaskoczony, wciąż ogarnięty żądzą, bezmyślnie posłuchałeś i wszedłeś do malutkiego pomieszczenia. Nie widziałeś, co dzieje się w sypialni. Słyszałeś tylko głosy: Gayatri i dwóch mężczyzn, starszego i młodszego – przynajmniej tak ci się wydawało. Nie rozumiałeś ich, ponieważ rozmawiali w urdu. Nie krzyczeli, lecz mówili w sposób, który z góry ostrzegał przed karą za niesubordynację. Nie podobało ci się to. Ich uporczywy śmiech, wdzierający się w najgłębsze zakamarki umysłu i pozostawiający za sobą głęboki niepokój, też ci się nie podobał.

Nie mogłeś jednak nic zrobić, nawet gdy usłyszałeś stłumiony płask, a z ust rudowłosej Gayatri wydobył się okrzyk bólu. Nie potrafiłeś się poruszyć i sprawdzić, co się wydarzyło. Stałeś jak sparaliżowany, zamiast wyjść. Ciało, wciąż zbyt szczupłe i mało muskularne, odmawiało współpracy. Drżałeś i przykładając dłoń do uchylonych warg, by przypadkiem nie zdradzić swej niepożądanego obecności. Bałeś się. Bałeś się chyba jeszcze bardziej, niż Gayatri, dlatego kiedy kilkanaście sekund później jej oprawcy wyszli, dorzucając w progu parę słów, nie odważyłeś się wrócić do sypialni. Czułeś poniżenie, zawód i wstyd. Nienawidziłeś siebie, ponieważ nie potrafiłeś jej obronić.

Wiesz, że wymagałeś od siebie zdecydowanie zbyt wiele, Dhiraj? Nadal byłeś tylko dzieckiem, niezależnie od tego, jak bardzo pragnałeś wierzyć, że Gayatri uczyniła cię mężczyzną.

12.

Nigdy o tym nie rozmawialiście. Nigdy nie spytałeś, kim byli nieproszeni goście, a ona nie chciała wiedzieć, czy usłyszałeś jej krzyk. Wtedy, tamtego popołudnia, poprosiła, byś wyszedł od razu po opuszczeniu łazienki. Jej głos drżał niemal tak bardzo, jak twoje kolana, kiedy w pośpiechu łąpałeś plecak i spoconą dłonią chwytałeś klamkę. Nie zwróciłeś uwagi na czerwony ślad, który przykryła równie ognistymi włosami. Zanim zniknąłeś, pochyliłeś się nad nią, próbując chociaż w taki sposób pokazać, że przepraszasz, że ci wstyd, że tak bardzo chciałbyś jej pomóc. Nic się nie zmieniło; tym razem także nie pozwoliła ci się pocałować.

Gdy opuściłeś jej dom, poszedłeś prosto do baru ojca. Usiadłeś tam, gdzie zawsze, tam, gdzie wszystko się zaczęło. Usiłowałeś uspokoić myśli i opanować drżenie rąk, tak uporczywie i banalne, nie dające żadnego ukojenia. Nie lubiłeś tych dziwnych reakcji organizmu. One sprawiały, że czułeś się jeszcze gorzej; jeszcze bardziej winny, jeszcze mniej męski, jeszcze mniej dojrzały. Gdyby z Gayatri był wówczas silny, prawdziwy mężczyzna, mógłby ją ochronić.

Mógłby już dawno temu zabrać ją daleko stąd, by nie musiała w taki sposób zarabiać pieniędzy. Mógłby zbudować dla niej dom i zapewnić jej szczęście.

Patrzyłeś na zieloną papużkę i splatałeś dłonie, żałując, że urodziłeś się zbyt późno. Ptak stapał leciutko po drewnianym blacie i wyjadał orzechy z okrągłej miski. Może faktycznie oszalałeś, ale wydawało ci się, że czuje to, co ty. Że też o niej myśli i zastanawia się, dlaczego nie ma jej przy niewielkim stoliku. Przecież zwykle tu siadała, prawda? Siadała, zaraz po waszych spotkaniach, i dawała papużce słone smakołyki. Pozwalała jej wybierać orzeszki wprost z oblepionych solą palców. Czasami ty też przychodziłeś i też zajmowałeś to samo miejsce, z którego kiedyś tak namiętnie ją obserwowałeś. Patrzyłeś na nią, a ona tylko uśmiechała się kącikiem ust w charakterystyczny dla siebie sposób i udawała, że wcale się nie znacie.

Chociaż... nie pomyślałeś, Dhiraj, że ty naprawdę jej nie znałeś?

13.

Gdy przyszedłeś nazajutrz, zachowywała się prawie tak samo, jak co tydzień przez te trzy miesiące, podczas których godziła się na twoje towarzystwo. Wpuściła cię, chociaż wcześniej zabraniała ci przychodzić w inne dni niż środy. Niewiele mówiła, siedziała naprzeciwko przykurzonej toaletki i czesała długie kosmyki. Obserwowałeś ją, przycupnąwszy na twardym posłaniu i marszczyłeś brwi. Poczułeś niewiarygodne wyrzuty sumienia, gdy dostrzegłeś fioletowy ślad tuż pod lewym okiem, zajmujący prawie połowę spuchniętego policzka. Bolało cię to jeszcze bardziej niż ją, kiedy usiłowała pokryć twarz beżowym fluidem.

Jasne palce powoli wędrowały po równie jasnej skórze i kreśliły ścieżki między wyblakłymi piegami. Kilka rudych włosów przykleiło się do ust. Oczy, zwykle zimne jak lód, teraz przypominały gładką taflę lustra, w którym odbijał się jedynie lęk i skrywany smutek. W żaden sposób nie dała ci do zrozumienia, że coś jeszcze się stało, że coś jest nie tak, że cierpi, boi się lub potrzebuje bliskości. Była chłodna jak zawsze, nieco wyniosła, silna – silniejsza niż ty – i chyba mniej przerażona wcześniejszymi zdarzeniami. Nie powiedziała, że czuje się źle, że pragnie skryć się przed groźnymi ludźmi i poczekać, aż wszystko wróci do normy. To ty chciałeś to rzec. Poza tym twoje emocje były zbyt silne, byś już wtedy zauważył, że jej oczy przypominają lustro.

Nie zdziwiło cię również, że prawie nie zwróciła na ciebie uwagi. Czasami bowiem, tak jak tego dnia, gdy już odbyliście swój niestosowny rytuał, czesała się lub nakładała na siebie charakterystyczne czerwone sari. Niekiedy malowała usta i oczy albo wybierała biżuterię z drewnianej szkatułki. Nigdy jednak nie wspominała o oczekiwanych klientach. Nigdy, każąc ci wyjść, nie uzasadniała tego ich rychłym przybyciem. Właściwie nijak tego nie uzasadniała. Ale wtedy, gdy wykrzywiając lekko wargi, pokrywała podkładem zsiniały fragment skóry, wyznała obojętnie, że z uwagi na umówionego gościa nie powinieneś tu przebywać. Dotychczas nie odzywała się tak łagodnym i obcym tonem.

I wyszedłeś, prawda? Zrobiłbyś to, gdybyś wiedział, że widzisz ją wtedy po raz ostatni?

14.

Walizka była zielona. Nie pamiętałeś, jaki miała kształt, co się w niej mieściło i gdzie dokładnie się znajdowała. Wiedziasteś tylko, że była zielona, zielona jak szmaragd, jak pozbawiony ozdób strój, w który przyodziła się Gayatri. Wyjątkowo, niespodziewanie, bo przecież ubierała się tylko

w czerwieniu. Poza tym nigdy wcześniej nie widziałeś jej w salwar kameez. Ale to nie miało znaczenia, nic nie miało, ani jej podkrążone oczy, ani ten ślad, który, choć już ledwo widoczny, nadal szpecił piękny policzek. Liczyła się tylko walizka, tylko fakt, że cały dobytek rudowłosej gori został upchnięty na dnie bagażu.

Na początku nie rozumiałeś, co tak naprawdę się stało. Kiedy przyszedłeś, Gayatri już się pakowała, ale cię wpuściła. Musiała, przecież była środa. Nie dała ci żadnej paczki, którą powinienes dostarczyć. Po prostu milczała, tak jak na początku waszej znajomości. Raz po raz stawiała na palce, by zdjąć coś z wyższych półek, a dzwoneczki przy jej bransoletkach wydawały znajomy dźwięk. Chodziłeś za nią krok w krok, usiłując zatrzymać, spytać, sprawić, by w końcu na ciebie spojrzała. Ale ona nie chciała, mijała cię, jakby dając do zrozumienia, że najlepiej by było, gdybyś w ogóle się nie pojawił. Dopiero gdy złapałeś ją za nadgarstki i wbiłeś wzrok w jej niebieskie tęczęwki, zdecydowała się przemówić.

Tak naprawdę niczego nie wyjaśniła. Powiedziała tylko, że to koniec, że musisz wyjść, przestać myśleć, zapomnieć, że kiedykolwiek istniała. Dodała, że wyjeżdża daleko stąd, chyba do domu, do Francji, tam, gdzie oni jej nie znająd. Nie zdradziła, kim są ci oni ani dlaczego ucieka i zostawia cię tutaj samego, porzuconego, skazanego na ból i tęsknotę. Nie pozwoliła się przytulić, pocałować, zatrzymać, dotknąć. Nie kochała cię. Przecież tak naprawdę nic dla niej nie znaczyłeś. Kiedy puściłeś jej dłonie, wróciła do pakowania, jak gdyby nigdy nic, nadal chłodna, obojętna, a jednak już nie tak silna, bardziej zmęczona. Nie odpowiedziała, kiedy przed wyjściem wyznałeś jej, co czujesz. Nie zareagowała, kiedy otworzyłeś drzwi.

Gdy ze łzami w oczach opuszczałeś jej niewielką posesję, rozumiałeś, że tu wrócisz. Choćby po to, by wyjaśnić jej, że to nie powinno się tak skończyć.

15.

Przez pierwsze trzy dni z rzędu przychodziłeś pod jej dom i pukaleś do drzwi. Uparcie trwałeś pod oknami przez długie, smętne minuty. Nie wierzyłeś, że Gayatri naprawdę wyjechała. Przecież nie mogła. W końcu nie tak miało być. To po prostu nie powinno skończyć się w taki sposób. Nie chciałeś pojąć, że na drewnianych regałach nie została nawet najdrobniejsza jej rzecz, a na drzwiach od łazienki nie wisały już chusty w kolorze czerwieni. Ukochana twarz przestała odbijać się w szklanej tafli lustra.

Nie pojawiała się też w barze. Papuga chyba znów dzieliła twój ból, ponieważ sama toczyła po blacie wilgotne orzeszki. Nie jadła ich, nie, tylko przesuwiała dziobem, tak powoli, niechętnie, jakby wciąż czekając, aż znajome, jasne palce wrócą i powtórzą pamiętny rytuał. Raz po raz wydawała z siebie tęskny dźwięk, a może wcale nie tęskny, może normalny, ale tobie kojarzący się z żalem i rozpaczą. Brakowało ci Gayatri, chociaż nie widziałeś jej dopiero od kilkudziesięciu godzin. Znów oszalałeś, wiesz? Najpierw na jej punkcie, a następnie przez to, że pozbawiła cię swojej bliskości.

Potem, gdy już minęło więcej czasu od zniknięcia gori, ojciec siadał obok ciebie i razem obserwowaliście poczynania ptaka. Prawdopodobnie twoja rodzina zauważyła, że coś jest nie tak. Coraz częściej zaganiali cię do pracy; może dlatego, że nadszedł czas, byś nauczył się żyć, a może po to, byś nie siedział bez ruchu w barze i nie niepokoił stałych klientów. Ona wciąż nie wracała, a ty nadal miałeś nadzieję i przynajmniej raz dziennie pukaleś do jej drzwi. Już nie czekałeś, tak jak przez pół pierwszego tygodnia, ale przychodziłeś, trochę z przyzwyczajenia, a trochę po to, by upewnić się, że to

wszystko nie było snem. Miałeś wątpliwości, bo skoro tak nagle rozplynęła się w powietrzu...

Czasami, kiedy patrzyłeś w czarne, paciorkowate oczy papugi i delikatnie mierzwiłeś zielony grzbiet, naprawdę zaczynałeś wierzyć, że Gayatri nigdy nie istniała.

1.

Kiedy ukończyłeś siedemnaście lat, w zacienionym kącie baru zaczęła pojawiać się nowa kobieta. Najpierw przychodziła raz w tygodniu, następnie dwa razy, po miesiącu trzy, a potem odwiedzała go już codziennie i stała się niemal częścią obscurnego pomieszczenia. Jej błękitne sari zupełnie nie komponowało się z zielonym upierzeniem papugi. Oczy szczupłej Hinduski przywodziły na myśl czekoladę, a usta świeżą krew, tak sugestywnie odbijającą światło. Nie była idealna, nie, ale wystarczająco wyjątkowa, by zwracać twoją uwagę.

Pewnego dnia po prostu podszedłeś do niej i spytałeś, czy możesz się dosiąść. Potrzebowałeś towarzystwa. Nieważne, że wcale nie powinieś tam być. Nieważne, że ojciec kazał ci pomagać za barem, a w domu czekały lekcje. Chciałeś porozmawiać, tylko tyle, chociaż raz, choć przez moment, by wypełnić tę dziwną pustkę po czymś z pozoru odległym, ale nadal kryjącym się gdzieś na dnie podświadomości. Gdy odsunąłeś sobie krzesło, brunetka uśmiechnęła się kącikiem ust, tak delikatnie, ledwo dostrzegalnie, a jednak zbyt wyraźnie, by nie wychwylił tego wzrok nastoletniego chłopca.

Spojrzałeś jej prosto w oczy, a wtedy twoje serce zaczęło szybciej bić, nogi mięknąć, jakby ktoś nagle pozbawił je mięśni. Spociałeś się lekko, kiedy niebieski szal zsunął się odrobinę i odsłonił opalony dekolt. Na szczupłych nadgarstkach zabłyśły złote bransoletki, a dzwoneczki przyłączone do każdej z nich wydawały dźwięk, który uznałeś za znajomy. Drobne, delikatne dłonie nieznanoma oparła o blat i poczęła cichutko stukać paznokciami o drewno. Ten odgłos hipnotyzował cię, sprawił, że twój świat wyrzucił się do góry nogami.

Co dokładnie się stało? Zakochałeś się. Znów. Ale nic w tym dziwnego, Dhiraj. W końcu byłeś naiwny i miałeś duszę cholernego romantyka. ♦

Anna Cholewczyńska

Biały pokój



Anna Cholewczyńska – osiemnastoletnia pasjonatka szeroko pojętej fantastyki, szczególnie zakochana w epickich bataliach o wolność. Wychowana na „Władcy Pierścieni” i starej trylogii „Gwiezdnych Wojen”. Od paru lat pisze opowiadania oraz powieści, zarówno fantasy, jak i science fiction. Lubi przekazywać stworzonym postaciom własne doświadczenia, związane m.in. z trenowaniem łucznictwa i strzelectwa. Marzy, by jej historie wciągnęły jak najwięcej czytelników.

Białe ściany oraz podłoga, proste meble i łóżko w tym samym, pustym kolorze. Biały pokój. Denil nie знаła niczego innego – to był jej cały świat. We wspomnieniach widziała tylko białe, niezmiennie pomieszczenie, więc nie dostrzegała upływu czasu. Leżała na łóżku, chociaż dawno zapaliło się światło. Nie myślała nad niczym, trwała.

Nagle rozwarły się drzwi, przez które weszło parę osób w białych strojach. Nie było to nic niezwykłego, powtarzało się, odkąd Denil sięgała pamięcią. Usiadła odruchowo, a mężczyzna w fartuchu uśmiechnął się do niej.

– Witaj, Denil. Przyszedł czas na badania – powiedział.

Choć ludzie odzywali się czasem niby do dziewczyny, zawsze mówili bardziej do siebie – jakby nie sądzili, że cokolwiek zrozumie. Z tego powodu nigdy dotąd nie odpowiadała.

Mężczyzna sięgnął po igłę ze stolika i pobrał Denil krew, a potem w milczeniu przykładał do jej ciała różne bzyczące przyrządy. Na koniec odłożył wszystkie nieznanne instrumenty, po czym przejrzał kartki pełne czarnych znaczków.

– Ciekawe... – mruknął do siebie lub swoich towarzyszy. – Wyniki z miesiąca na miesiąc są coraz lepsze. Przydałyby się bardziej szczegółowe badania. Zabieramy ją.

Dwaj mężczyźni w białych mundurach chwycili Denil za ramiona silnymi dłońmi, a następnie podnieśli ją na nogi. Spojrzała na nich zdumiona, jednak nie zareagowała w żaden inny sposób. Dała się poprowadzić do przejścia, a potem na zewnątrz białego pokoju. Nigdy dotąd nie wychodziła ze swojego świata, więc obudziła się w niej ludzka ciekawość przesłaniająca lęk przed nieznanym. Dziewczyna rozejrzała się zachłannie.



Pociąg magnetyczny sunął całkowicie bezszelestnie, unosząc się kilka centymetrów nad torami. Za oknem migały kolejne budynki oraz nieliczne pola

czy drzewa. Silvia z podekscytowaniem czekała na dojazd do nowego miejsca pracy. Spędziła pół życia na poznawaniu genetyki, aż w wieku trzydziestu lat zyskała tytuł doktora. Parę miesięcy później otrzymała propozycję pracy i to nie było jakiej – w najlepszym ośrodku naukowym w kraju, a może nawet na świecie. Nie wiedziała, na czym dokładnie polegać będą jej zadania. Badania genetyczne, w jakich miała wziąć udział, podlegały ścisłej ochronie, więc na razie dostała tylko bardzo ogólne informacje. Nie mogła się doczekać, aż otrzyma szczegółowe akta w swoje ręce.

Pojazd zatrzymał się wreszcie na opuszczonej stacji niesprawiającej dobrego wrażenia. Silvia nałożyła na ramię pasek torby i stanęła na betonowych płytach peronu. Dawno takich nie widziała, ponieważ w miastach wszystko lśniło, zbudowane z metalu lub tworzyw sztucznych.

Pociąg odjechał, a Silvia ruszyła niepewnie w stronę starego budynekku z tablicą z nazwą stacji – nieczytelną z powodu brudu i niecenzuralnych słów. Nagle usłyszała delikatny dźwięk, a po chwili niedaleko zatrzymał się lewitosamochód. Ze środka wyszedł kierowca w czarnym garniturze.

– Panna Jonser? – zapytał dość sucho.

– Tak, to ja – potwierdziła.

– Proszę za mną.

Mężczyzna wskazał wóz, więc Silvia posłusznie do niego wsiadła. Uśmiechnęła się lekko na widok skórzanych siedzeń – obecnie niepotrzebnej ekstrawagancji. Kierowca również zajął swoje miejsce i nacisnął pedał. Pojazd ruszył, wypuszczając w tył kłęb pary wodnej. Mijał pola – niezmiernie rzadkie w dzisiejszych czasach. W ogóle okolica wyglądała, jakby cywilizacja do niej nie dotarła.

Po kilkunastu minutach szybkiej jazdy lewitosamochód zatrzymał się przed oślepiająco białym, niewielkim budynkiem.

– Cały kompleks mieści się tutaj? – zagadnęła ze zdziwieniem pasażerka.

– Pod ziemią. – Padła krótka, treściwa odpowiedź.

Kierowca wskazał automatyczne drzwi, po czym spiesznie odjechał, gdy tylko kobieta wysiadła. Poprawiła pasek torby wrzynający się jej w ramię, odetchnęła głęboko i weszła do budynekku. Znalazła się w małym, białym pomieszczeniu, gdzie centralne miejsce zajmowało biurko, za którym siedzieli dwaj strażnicy w białych mundurach. Jeden z nich spojrzał na przybyłą.

– Panna Silvia Jonser?

Przytaknęła.

– Poproszę o dowód osobisty.

Podawała mężczyźnie niewielką plastikową plakietkę ze zdjęciem oraz paroma informacjami. Kiedy włożyło się kartę do czytnika, na monitorze pojawiało się o wiele więcej danych o właścicielce. Strażnik szybko poruszał palcami po dotykowym ekranie.

– Nazwisko panińskie pani matki? – zadał pytanie sprawdzające, nie odrywając wzroku od wyświetlacza.

– Korelska – odparła swobodnie Silvia.

– Kierunek ukończonych studiów?

– Genetyka stosowana.

Mężczyzna skinął głową z zadowoleniem.

– Proszę jeszcze położyć tu dłoń. – Wyciągnął z szuflady elektroniczną tabliczkę.

Silvia spełniła polecenie, a czytnik linii papilarnych potwierdził jej tożsamość, co wreszcie zakończyło sprawdzanie.

– Witamy w ośrodku Genoix – rzekł uroczyście ochroniarz. – Na dole ktoś będzie na panią czekał.

Kobieta ruszyła do windy mieszczącej się po prawej stronie pomieszczenia. Fotokomórka automatycznie zamknęła kabinę, gdy tylko pasażerka weszła do środka. Przez krótką chwilę jeszcze widziała malejacy w szczelinie obraz strażników, aż przed oczami zostały jej tylko metalowe drzwi. Wraz z nimi zamknął się również pewien etap w życiu Silvii, a zaczął zupełnie nowy. Poczowała dreszcz podniecenia połączonego z niecierpliwością, kiedy winda sunęła w dół z nieznaną prędkością – współczesne technologie całkowicie niwelowały przeciążenia.

Po około minucie kabina zawisła w powietrzu, po czym drzwi otworzyły się, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Kobieta ujrzała białe korytarze rozchodzące się w różnych kierunkach, pełne ludzi w białych fartuchach, białych mundurach lub w uniformach o – zaskakująco nie na miejscu – innych barwach. Pomiedzy pracownikami przemykały stalowe roboty jeżdżące na małych kółkach. Wszystko to powodowało zawrót głowy po widoku pustkowi, jakie wcześniej mijała.

– Panno Jonser, witam w Genoix – odezwała się starsza kobieta w dopasowanym, białym stroju. – Jestem profesor Catos.

– Dzień dobry. – Silvia uśmiechnęła się, ale usta badaczki nawet nie drgnęły.

– Na samym początku muszę ci przypomnieć, że projekt, w którym bierzesz udział, jest ściśle tajny i nic nie może przeciec do opinii publicznej – mówiła profesor, kiedy zaczęła prowadzić nową pracownicę.

– Oczywiście, rozumiem.

– Jutro weźmiesz udział w ogólnym zebraniu odnośnie projektu. Tu masz dane, zapoznaj się z nimi. – Starsza kobieta wyciągnęła z kieszeni drobny chip. – Weź jeszcze to. – Podała również grubą plakietkę ze zdjęciem, podstawowymi danymi osobowymi, kodem magnetycznym oraz małym głośniczką i mikrofonem. – To identyfikator, klucz do pewnych sal, a także komunikator. Na razie masz dostęp do sali obserwacyjnej projektu. Skorzystaj z tego najlepiej przed zebraniem.

Silvia starała się przybrać pewną siebie minę, chociaż przy takiej towarzysze nie wychodziło to najlepiej. Przyjęła oba przedmioty i czekała na dalsze instrukcje.

– W pokoju masz panel jedzenia, jeżeli jesteś głodna – kontynuowała rzeczowym tonem przewodniczka. – Pytania możesz kierować też do obsługi, są w fioletowych uniformach.

Kobieta zamilkła, a Silvia na razie o nic nie pytała. Przeszły do dalszej części kompleksu, gdzie nareszcie zatrzymały się przed drzwiami z tworzywa sztucznego. Po przyłożeniu identyfikatora pokój stanął otworem, więc profesor pożegnała się sztywno i poszła w swoją stronę.

Pomieszczenie zostało rozdzielone białą zasłoną, za którą umieszczono bardziej prywatną część: łóżko oraz szafy, a także maleńką łazienkę. Wchodzący widział tylko typowy gabinet – biurko z komputerem i kilka półek do trzymania niezbędnych drobiazgów.

Silvia z ulgą rzuciła torbę na łóżko, a sama zasiadła przed monitorem. Włożyła chip do czytnika, z niecierpliwością oczekując na sprawozdania z projektu. Najpierw ujrzała nagłówek:

D.E.N.I.L.

Nie zostało to na razie wyjaśnione, ale na pewno gdzieś dalej umieszczono rozwinięcie tajemniczego skrótu.

– Przydałoby się coś zjeść – mruknęła do siebie kobieta, kiedy poczuła uporczywe ssanie w żołądku.

Rozejrzała się w poszukiwaniu wspomnianego panelu i znalazła tablicę z podpisanymi przyciskami. Wybrała jakiś kotlet, frytki oraz sok jabłkowy, po czym wróciła na miejsce. Właściwie nie wiedziała, w jaki sposób ma się pojawić zamówiony posiłek, jednak długo nad tym nie myślała. Wróciła do czytania sprawozdania.

Zaczęło się od łączenia genów, których wybór został dość mętnie opisany, więc Silvia postanowiła poprosić kogoś o wyjaśnienie przy najbliższej okazji. Potem pokazano, jak rozwijał się organizm.

W tym momencie do pokoju samodzielnie wjechał robocik niosący obiad. Postawił papierowy talerz na biurku, zostawił plastikowe sztucce i wyjechał. Silvia popiła soku, a nawet napoczęła kotlet, po czym wróciła do czytania. Pochłonięta nowymi informacjami, zapomniała o głodzie, choć czasem odruchowo sięgała po frytki.



Ciągące się w nieskończoność korytarze, chociaż również białe, różniły się jednak od małego pokoju będącego dotąd całym światem Denil. Fioletowe i zielone stroje niektórych ludzi wręcz raziły w oczy. Olbrzymie wrażenie sprawiała także liczba tych osób. Dziewczynę odwiedzało po kilku opiekunów, lecz teraz widziała cały tłum.

Dwaj strażnicy w milczeniu prowadzili Denil za mężczyzną w białym płaszczu, podczas gdy ona obserwowała wszystko wokół. Po paru minutach znaleźli się w białym, sterylnym pomieszczeniu, nieco większym od pokoju dziewczyny. Musiała usiąść na wysokim fotelu, po czym pozwolić, by nałożono jej na głowę dziwną czapkę z przewodami. Nie miała pojęcia, o co w tym chodziło, jednak nie oponowała. Skomplikowane maszyny wydawały różne dźwięki, wśród których przeważało bzyczenie. Wreszcie mężczyzna zdjął czapkę z kablem i wbił w rękę dziewczyny wielką igłę. Denil jęknęła z bólu, który wzrastał w miarę, jak igła poruszała się we wnętrzu ciała. Naukowiec zdawał się nie zwracać na to uwagi, pochłonięty swoją pracą.

– Przestań! – poprosiła.

Mężczyzna zamarł.

– Co powiedziałaś?

– Przestań – powtórzyła cicho, lekko zachrypniętym głosem.

Naukowiec wyciągnął igłę i przykleił plaster w miejscu zranienia, po czym kucnął przed dziewczyną.

– Umiesz mówić? – zapytał powoli, jak do kogoś mało rozumnego.

– Tak.

– Dlaczego wcześniej się nie odzywałaś?

– Po co?

W życiu nie mówiła zbyt wiele, więc nie miała wyćwiczonego języka czy gardła. Wołała porozumiewać się jak najkrótszymi wyrażeniami.

Mężczyzna odszedł kawałek, by przemówić do plaketki zawieszanej na szyi. Denil widziała to już nie raz, więc doszła do wniosku, że to coś służy do komunikacji pomiędzy ludźmi. Coś do komunikacji... – komunikator! Dziewczyna czekała w milczeniu, aż zdarzy się cokolwiek. Niestety, nie słyszała słów naukowca. Po jakimś czasie zjawiła się starsza kobieta, która zamieniła parę zdań z mężczyzną, a następnie usiadła przed nastolatką.

– Witaj, Denil. Więc umiesz mówić, co? – rzekła miłym głosem.

Dziewczyna nie odczuła potrzeby odpowiadania na takie ni to pytanie, ni to oznajmienie.

– W takim razie powiedz coś, może... Jak się nazywasz?

To głupie, pomyślała, przecież ona sama się do mnie zwróciła moim imieniem.

– A ile masz lat?

Lat? Co to znaczy? Denil zmarszczyła brwi. Lata... To było jedno ze słów, które kręciły się gdzieś na granicy świadomości, lecz nie dały się wyjaśnić. Lata... Kojarzyły się z czasem. Czym właściwie jest czas? Upływ czasu... Ile mam lat? Ile czasu żyję? Nie wiem.

– Fathow, ona nie mówi. – Kobieta odwróciła się do towarzysza. – Coś ci się zdawało.

– Mówi – upierał się. – Tylko teraz nie chce.

– Odprowadź ją do pokoju. Potem porozmawiamy.

– Dobrze, profesor Catos.

Kobieta odeszła, a dwaj strażnicy ponownie pochycili Denil. Mężczyzna zniknął, gdy dziewczyna była ponownie prowadzona przez korytarze. Z fascynacją obserwowała otaczających ją ludzi spieszących do swoich spraw. Spozobregła, że przy niektórych drzwiach są guziki, a przy innych tylko metalowe prostokąty, do których przykładano komunikatory. Nie zdążyła dostrzec wiele więcej, ponieważ odprowadzono ją do dobrze znanego pomieszczenia. Przy okazji zwróciła uwagę, że przy tutejszych drzwiach znajduje się przycisk od strony korytarza.

Znowu została sama w białym pokoju.



Irytujący dźwięk automatycznego budzika wyrwał Silwię ze snu. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie, co widziała w nocnych majakach. Śniła o... Martinie! Wesoła twarz okolona jasnymi lokami, szczery uśmiech... Wciąż go pamiętała mimo upływu tylu lat. Właściwie ze względu na zmarłego brata połączyła swoje życie z genetyką. Nic dziwnego, że obraz chłopca powrócił do niej we śnie właśnie teraz, gdy zakończyła swoją długą edukację i znalazła się w tym wspaniałym miejscu. Spełniała powinność względem niego.

Choć była trochę niewyspana, wstała bez ociągania, nie mogąc się doczekać dalszych informacji o projekcie D.E.N.I.L. Wczoraj wieczorem bardzo późno się położyła, ponieważ przeglądała dane dostępne na chipie. Poznała między innymi rozwinięcie zagadkowego skrótu: Dwunasta Eksperymentalna Nowa Istota Ludzka. W sprawozdaniach znalazła opis rozwoju swojego „płodu” oraz jego laboratoryjne „urodzenie”. Obecna technologia pozwalała określić wiek takiego eksperymentu, a w tym przypadku D.E.N.I.L. urodziła się jako fizyczna trzynastolatka. To dość dziwne, bo bardziej preferowano małe dzieci lub już dorosłych. W każdym razie od tamtej pory minęły ponad dwa lata, a badania wskazywały na to, że ciało obiektu rozwijało się dalej całkowicie normalnie – bez przyspieszeń, które często się zdarzały w takich okolicznościach. Nie było wiele informacji o rozwoju psychicznym. Według naukowców po prostu nie wykazywała przejawów ludzkiej inteligencji.

Na chipie znajdowały się również dwa foldery zdjęć. W pierwszym z nich pokazano mikroskopowe zdjęcia komórek, później rosnący płód, pomarszczony, czerwony, nowonarodzony obiekt, aż wreszcie ostatnie ujęcie, najbardziej zaskakujące. Silvia ujrziała bowiem ładną nastolatkę o długich, lekko kręconych, kasztanowych włosach oraz okrągłych, zielonych oczach. Delikatne piegi na nosie i na bladych policzkach dodatkowo podkreślały

całkowitą zwyczajność dziewczyny. Ciężko uwierzyć, że nie urodziła się naprawdę, lecz została stworzona. Silvia wpatrywała się z uwagą w twarz eksperymentu, czując w sobie coś dziwnego. Te okrągłe, zielone oczy... – tak bardzo podobne do oczu Martina. Jak to możliwe? Kobieta potrząsnęła głową, zła na nieprofesjonalne podejście. Przecież wielu ludzi ma zielone oczy. Co w tym dziwnego? – pomyślała, po czym wróciła do pracy.

Zdjęcie D.E.N.I.L. zupełnie kontrastowało z tymi umieszczonymi w drugim folderze nazwanym „Poprzednie E.N.I.L.”. Tutaj Silvia zobaczyła dorosłych lub dzieci w różnym wieku oraz różnej płci. Ich ciała były zniekształcone, czasem wręcz potworne: z nieodpowiednią liczbą kończyn czy oczu, z paskudnymi plamami na skórze lub jeszcze innymi defektami. Kobieta nie przyglądała im się zbyt dokładnie.

Zjadła śniadanie zamówione przez panel, po czym udała się na poszukiwanie sali obserwacyjnej. Z pomocą obsługi znalazła odpowiednie miejsce. W drzwiach zamiast klamki umieszczono oczywiście czytnik, do którego Silvia przystawiła kod kreskowy swojego identyfikatora. Z pod-ekscytowaniem weszła do stosunkowo niewielkiego pomieszczenia zapelnionego dotykowymi ekranami komputerów. W różnych miejscach siedzieli pracownicy, z których część odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi. Do Silvii podszedł mężczyzna niewiele starszy od niej. Spodobał jej się, bo jako jedyny przywołał uśmiech na twarz.

– Witaj, jestem doktor Spark – przedstawił się. – To nasze obserwatorium. – Wskazał ręką salę. – Mamy tu podgląd do kamer w pokoju D.E.N.I.L. oraz analizujemy wyniki badań. Niektórzy muszą również regularnie sprawdzać jej czynności życiowe.

– Rozumiem. – Silvia skinęła głową. – Mogę ją zobaczyć?

Spark wskazał na jeden z większych ekranów wyświetlający biały pokój, a w nim dziewczynę z kasztanowymi włosami leżącą na łóżku.

– Dużo nie robi – skomentowała kobieta, choć i tak ujrzenie żywej laboratoryjnie stworzonej istoty zrobiło na niej wrażenie.

– Dlatego przygotowałem dla ciebie skrót z paru ostatnich dni. Chodź.

Posłusznie usiadła na jednym z foteli, a mężczyzna poruszył palcami po ekranie. Po chwili pokazał się krótki film. D.E.N.I.L. głównie leżała na łóżku, często chodziła w kółko lub nawet biegała. Niekiedy siedziała i poruszała ustami.

– Co ona robi? – zapytała zaciekawiona Silvia.

– To właśnie jest dziwne – przyznał Spark. – Właściwie nie wydaje dźwięku uchwytnego dla kamery, ale z ruchu warg zrozumieliśmy, że dokładnie powtarza wypowiedzi przebywających u niej osób.

– Ona mówi? – zdumiała się.

– Nie, nie jest inteligentna. Tylko powtarza, co usłyszała.

– Wygląda jak człowiek – mruknęła kobieta, wpatrując się w drobną nastolatkę.

– Tak, to prawda – przytaknął z uśmiechem mężczyzna. – Niestety, tylko wygląda. W niczym innym nas nie przypomina.

– Mam jeszcze pytanie... Jak dobrano jej geny? Nie bardzo rozumiem wyjaśnienie w aktach.

– To dłuższa historia – wykręcił się. – Powinniśmy już iść na zebranie.

Ledwie to powiedział, jeszcze kilka innych osób wstało z foteli i razem udali się do sąsiedniej sali z wielkim stołem. W krótkim czasie wszystkie miejsca zostały zajęte przez naukowców w białych fartuchach – teraz i Silvia taki nosiła.

- Mamy nowe informacje - zaczęła starsza kobieta, profesor Catos.
- Obejrzyjcie, proszę, to nagranie.

Z sufitu zjechał płaski monitor. Zapadła cisza, kiedy włączył się film. D.E.N.I.L. znajdowała się w gabinecie z urządzeniami mierzącymi jej sprawność fizyczną i umysłową. Kiedy jakiś mężczyzna wbił jej igłę w rękę, ona... *odezwała się*. Jasno i wyraźnie. Nie mogło to być przypadkowe, szczególnie że później całkiem sensownie odpowiedziała na zadane pytania. Przy stole zapanowało poruszenie.

- Co o tym sądzicie? - zapytała kobieta.

- To wydaje się wręcz niemożliwe - mruknął ktoś.

- Czy naprawdę ukryła przed nami zdolność myślenia?

- Może dopiero niedawno ją zyskała?

- A może po prostu nie odczuwała potrzeby ujawnienia się - stwierdził zszokowany doktor Spark. - Trzeba natychmiast przeprowadzić dalsze badania. To może być wielkie odkrycie!

Silvia przypomniała sobie swoje spostrzeżenia. D.E.N.I.L. wygląda jak człowiek i najwyraźniej na tym jednak *nie* kończą się podobieństwa. Kobieta przybyła tu w samą porę, by wziąć udział w tym eksperymencie. Jeżeli dziewczyna faktycznie myśli, to zmienia to postać rzeczy. Ile pomysłów stanie się możliwych!

- Profesor Fathow spróbuje porozmawiać z D.E.N.I.L. Pozostali mogą obserwować to na ekranach - oświadczyła Catos, po czym wraz ze wspomnianym mężczyzną wyszła na korytarz.

Ekran natychmiast wyświetlił obraz z kamery. Dziewczyna siedziała spokojnie przy małym stoliku i jadła obiad.

- Nauczyliście ją posługiwać się sztucami? - szepnęła Silvia do towarzysza.

- Tak. Małpy właściwie też są do tego zdolne, więc nie przywiązaliśmy do tej umiejętności dużej wagi.

Przy stole napięcie cały czas rosnęło, aż wreszcie do białego pokoju na ekranie wszedł Fathow. Uśmiechnął się sztucznie do dziewczyny, która spojrzała na niego lekko podejrzliwie. Silvia próbowała doszukać się na jej twarzy oznak ludzkiej inteligencji i po chwili je odnalazła. Choć pragnęła powodzenia takiego eksperymentu, gdzieś wewnątrz siebie poczuła delikatne ukłucie nieznanego strachu.



Denil zerknęła na wchodzącego znajomego mężczyznę. Był sam, co nieczęsto się zdarzało. Najpierw spojrzał na szary przedmiot zawieszony pod sufitem. Umysł dziewczyny zaczął szybko podsuwać inne sytuacje związane z tym czymś. Ludzie często się w niego wpatrywali, a czasem przy tym mówili - zupełnie jak do komunikatora. Dziwne... To coś chyba przekazywało obraz...

- Rozumiesz mnie, Denil? - zapytał gość.

Przytaknęła.

- Nazywam się Fathow, Jack Fathow. Rozumiesz?

Miała ją za głupią? Jasne, że rozumiała.

- Słuchaj, czy mogłabyś policzyć do dziesięciu?

Obojętnie wzruszyła ramionami. Kiedyś próbowali ją tego nauczyć. Zachowywali się wtedy mało normalnie. Najpierw tłumaczyli, potem nawet nie chcieli sprawdzić, czy coś zapamiętała, tylko od razu poszli.

- Ile widzisz palców, Denil? - zapytał Fathow.

- Pięć - odparła, ponieważ pokazywał całą dłoń.

- A teraz? – Dołożył dwa z drugiej ręki.
- Siedem.
- A teraz? – Pokazał obie dłonie.
- Dziesięć.

Mężczyzna znów zerknął w stronę szarej skrzyneczki.

- Dlaczego dotąd z nami nie rozmawiałaś? – zainteresował się.
- O nic nie pytałyście – mruknęła.
- Tylko dlatego?
- Tak.
- Jesteś tu szczęśliwa? – spytał nagle.

Szczęśliwa? Denil zmarszczyła brwi, zirytowana swoją niewiedzą. Nie potrafiła powiedzieć, co to znaczy szczęście. To słowo z czymś jej się kojarzyło tak jak wiele innych. Nie lubiła tego uczucia. Miała wrażenie, jakby ktoś kiedyś powiedział wszystkie te słowa, wytłumaczył je, lecz teraz dziewczyna nie mogła sobie tego przytomnieć. W każdym razie nie potrafiła odpowiedzieć na zadane pytanie, więc milczała.

- Dlaczego nie odpowiadasz?
 - Nie znam szczęścia – wyjaśniła cicho.
- Fathow skinął głową ze zrozumieniem.
- Co lubisz robić? – zmienił temat.
 - Śnić. – Nie wahała się ani chwili.
 - Masz sny? – zdziwił się mężczyzna.
 - Rzadko.

- Co ci się śni?

- Drzewa.
- Drzewa? Potrafisz to wyjaśnić?

- Brązowy pień, zielone liście. Poruszają się w rytm wiatru. Szeleszczą. To piękne.

Fathow wpatrywał się w nią w niebotycznym zdumieniu.

- Muszę iść na chwilę – stwierdził nagle. – Zaraz wrócę.

Uśmiechnął się z przymusem, po czym wyszedł z pokoju. Drzwi nie domknęły się całkowicie, pozostawiając szparę. Denil obojętnie przesunęła krzesło bliżej nich. Usłyszała głosy z korytarza.

- To niemożliwe! Umie liczyć, choć uczyliśmy ją tego dawno temu. Wtedy nie wykazywała żadnych postępów. Właściwie nawet nie mówiła. A teraz *rozmawia*. Zachowuje się jak człowiek.

- Ona nie jest człowiekiem – odparł suchy, żeński głos. – Chyba o tym pamiętasz. Nie jest taka jak my.

Denil zmarszczyła brwi. Jak to nie jest człowiekiem? Przecież jest taka jak oni wszyscy! Niby czym się różni? Dlaczego kobieta tak mówi? Co dokładnie znaczy słowo *człowiek*?

- Ona *śni*! Przecież na początku to sprawdzaliśmy i nie wykryliśmy żadnych snów. Jak mogliśmy to przeoczyć? – odezwał się znów głos tamtego mężczyzny.

- Tylko twierdzi, że śni.

- Opowiedziała mi, czym są drzewa, przecież słyszałaś. Skąd może to wiedzieć? Ten eksperyment wymyka się nam spod kontroli.

- Wręcz przeciwnie. Mamy nowe próbki do badań. Sądzę, że powinniśmy sprawdzić jej mózg.

- Chcesz ją zabić?

- Nie kontrolowaliśmy jej, jest nieprzewidywalna, a przez to niebezpieczna. Lepiej zrobić jej klony i powtórzyć eksperyment, tym razem nie dopuszczając do takich błędów.

- Trochę szkoda zmarnować D.E.N.I.L.

- Zrobimy nowe, skoro z nią się udało. Poddamy sprawę pod głosowanie, jednak jestem przekonana, że większość opowie się za sekcją. Teraz zupełnie nie znamy jej możliwości, ta niewiedza może nas drogo kosztować. Chodźmy.

Fathow wszedł na chwilę do pokoju, powiedział, że wróci jutro, po czym szczelnie zamknął drzwi. Denil wpatrywała się w białe ściany. Z całej rozmowy zapamiętała jedno słowo: „zabić”. Od razu je zrozumiała, chociaż wcześniej go nie znała. Było z nim trochę tak jak ze snami – widziała różne rzeczy i od razu instynktownie je nazywała. Śmierć... Zabić... Denil zacisnęła dłoń w pięść. Oni chcą ją zabić. Jeszcze nigdy niczego nie pragnęła tak, jak teraz – życia. Chciała żyć. Bała się śmierci. Bała się pustki, bólu, nicości. Przycisnęła ręce do oczu. Tak silne emocje przerażały ją, sprawiały, że dziwnie się czuła. Miała wrażenie, jakby mogła zrobić wszystko, by przeżyć. Umysł – przez długi czas otepiały – dzisiaj zaczął funkcjonować zaskakująco szybko.

Przez szarą skrzynkę zapewne obserwują ją wrogowie – to słowo samo pojawiło się w jej umyśle. Ci wszyscy, których dotąd widziała, to wrogowie. Mają nad nią władzę, chcą decydować o jej życiu i śmierci. Ale ona się na to nie zgodzi! Ucieknie. Dokąd? Nieważne. Musi się stąd wyrwać.

Guzik do otwierania drzwi znajdował się od strony korytarza – to źle. Ktoś musi je najpierw otworzyć. Wrogowie przyjdą, jeżeli jej nie zauważą w pokoju przez szarą skrzyneczkę. Nie, trzeba po prostu zniszczyć skrzynkę. Jak? Denil spojrzała na plastikowy nóż leżący przy talerzu. Musi wystarczyć.

Jak najbardziej obojętnie wzięła nóż, po czym podeszła pod skrzynkę. Stała na brzegu łóżka, by sięgnąć pod sufit. Z determinacją najpierw uderzyła pięścią w skrzynkę, co wgniotło blachę, ukazując małą szczelinę. Właśnie przez nią dziewczyna wsunęła nóż i kręciła nim z nadzieją na uszkodzenie tego czegoś. Kiedy nie zauważyła rezultatów, po prostu tłukła dłonią w obudowę. Zaiskrzyło. Odskokczyła przerażona. Nie wiedziała, czy plan się powiódł, jednak na wszelki wypadek stanęła tuż przy drzwiach. Czekала.

Nagle do środka wpadło trzech mężczyzn. Nim cokolwiek zauważyli, Denil wymknęła się na korytarz. Starła się wyglądać jak inni ludzie. Szła przed siebie, szukając wyjścia. Czy na tym kończy się świat? Na białych korytarzach? Czy nie ma nic innego? A drzewa? Czy to tylko wymysł śpiącego umysłu? Dochodzące z oddali krzyki zmusiły dziewczynę do szukania kryjówki. Wybrała jedno z wielu drzwi z przyciskiem. Weszła do środka, a światło włączyło się automatycznie. Ujrzała pomieszczenie wypełnione robotami, jakie miała okazję już widywać.

Denil skuliła się w kącie, obejmując ramionami podkurczone nogi. Co teraz? Przez tyle czasu nie robiła w zasadzie nic... Była oszołomiona i przerażona. Jeżeli świat kończy się na białych korytarzach, to ona nigdy nie ucieknie... Nie, musi być coś więcej! Musi! Coś mokrego spłynęło jej po policzku. Łza, pomyślała odruchowo, nieco zdziwiona. Do tej jednej dołączyły inne, a po chwili dziewczyna już płakała rozpaczliwie. Nie wiedziała, co powinna robić. Niespodziewanie zrobiło jej się zimno, więc poszukała czegoś do założenia na cienki, biały strój. W szafie stojącej obok robotów znalazła fioletowe uniformy i włożyła jeden z nich.

Nagły hałas ją przeraził. Rozejrzała się niespokojnie. Ujrzała, że jeden z robotów się poruszył. Przejechał koło dziewczyny, po czym opuścił pomieszczenie. Drzwi zamknęły się ponownie. Denil odetchnęła z ulgą, choć

serce wciąż waliło jej jak młotem. Schowała się za rzędami robotów, w ciemnym kącie, gdzie mimowolnie zasnęła.



– Uciekła?! – powtórzyła Silvia.

Przy stole wrażało, każdy coś krzyczał, każdy wiedział lepiej, co robić. Kobieta odwróciła się do Sparka.

– Wiecie przecież, jakie daliście jej geny. Sprawdźcie, na co ją stać.

– Z tymi genami, to... – Mężczyzna westchnął ciężko. – Dobrze, powiem ci, ale zachowaj to dla siebie. W rzeczywistości parę próbek nam się wymieszalo. Chcieliśmy się ich pozbyć, jednak geny połączyły się w ludzkie DNA. Co dziwniejsze, komórka zaczęła się powielać. Postanowiliśmy zobaczyć, co z tego wyjdzie. W ten sposób przez przypadek uzyskaliśmy najlepszy z dotychczasowych eksperymentów.

– Mimo to znacie jej geny. Musicie przygotować rys psychologiczny.

– To zajmie trochę czasu.

W tym momencie do sali zebrania wpadła profesor Catos.

– Tak, D.E.N.I.L. uciekła – rzuciła do współpracowników.

– W jaki sposób? – padło pytanie.

– Widzieliście na ekranie.

Rzeczywiście, Silvia obserwowała, jak dziewczyna bierze nóż, jednak mało kto zwrócił na to uwagę. Potem zniknęła z pola widzenia kamery. Nim operator kamerki to zauważył i obrócił mały wysięgnik, obraz z pokoju zniknął. Kilka minut później przyszła wiadomość od ochroniarzy: D.E.N.I.L. zniknęła. Uciekła...

– Jak uciekła?

– Dlaczego? – pytania się mnożyły.

– Okazuje się, że myśli lepiej, niż sądziliśmy – westchnęła starsza kobieta.

– Musimy natychmiast ją złapać i poddać dalszym badaniom. Nie ucieknie daleko, nie zna ośrodka. Musimy jeszcze przegłosować jedną kwestię. Czy po złapaniu obiektu będziemy dalej ją obserwować, czy zrobimy sekcję D.E.N.I.L., a wyhodujemy jej klony?

Naukowcy spojrzeli po sobie. D.E.N.I.L. właśnie pokazała, na co ją stać, pokazała, że jest niebezpieczna. Zdecydowanie lepiej wyhodować klony poddane najlepszej kontroli.

– Kto jest za sekcją? – zapytała pani profesor, a ponad połowa zebranych podniosła ręce. – Świetnie, uzgodniliśmy to. Już zarządziłam poszukiwanie obiektu. Wkrótce ją dostaniemy. Jeżeli ktoś chce pomóc w poszukiwaniach, może tu zostać. Pozostali proszeni są o udanie się do swoich pokoi.

Wielu naukowców opuściło pomieszczenie, lecz Silvia oraz Spark wciąż siedzieli. Silvia pragnęła uczestniczyć w tych wydarzeniach, a poza tym mogła biegać w prze-ciwiństwie do wielu starszych badaczy. Catos skinęła głową w stronę ochotników.

– Nie możemy uszkodzić obiektu. Dostaniecie pistolety z nabojami usypiającymi. Musimy zachowywać komunikację przez identyfikatory. Wiecie, jak wygląda D.E.N.I.L., więc wypatrujcie jej wszędzie. Będziemy jej także szukać za pomocą kamer. Wszystko jasne? Zaczynajcie.

Do sali wszedł pracownik ochrony z nareczem broni, a każdy z naukowców wziął po jednej sztuce. Silvia zerknęła na pistolet z niechęcią. Trzeba było poskromić D.E.N.I.L. dla jej własnego dobra, więc odegnała wyrzuty sumienia. Poza tym sekcja kogoś takiego da ludziom niewyobrażalną wiedzę oraz

możliwości. Ludzie nauczyliby się tworzyć nowe istoty. Rodzicom zmarło dziecko na nieuleczalną chorobę genetyczną? Naukowcy wyhodują nowe, identyczne dziecko bez chorobowej skazy. Każdego zabitego dałoby się przywrócić do życia! Można by zrobić jeszcze więcej: stworzyć doskonałych sportowców, doskonałych żołnierzy, doskonałych matematyków. Wystarczy dobrać odpowiednie geny... A Martin... On by żył. Rak by go nie zabił.

Silvia miała wtedy dziewięć lat, on – jedenaście. Kochała go, lecz nic nie mogła zrobić. Bezradnie obserwowała, jak z wesołego, żywego chłopaka przemieniał się w zniszczony chorobą oraz nieskutecznymi lekami wrak człowieka, aż wreszcie pozostało po nim jedynie wspomnienie. Na cmentarzu pojawiła się jeszcze jedna szara płyta nagrobna... Zrozpaczona mała Silvia przysięgła sobie wtedy, że zrobi wszystko, aby oszczędzić takiego bólu innym. Może nawet da radę przywrócić życie Martinowi! To wszystko jest w projekcie D.E.N.I.L. Dzięki niej ludzie wygrają ze śmiercią, chorobami! To niesamowite! Nie można pozwolić, by taka szansa się zmarnowała.

Upojona wizjami świetlanej przyszłości, życzyła powodzenia Sparkowi, który poszedł w innym kierunku, po czym sama wybrała się korytarzami na poszukiwanie uciekinierki.



Denil znowu śniła o drzewach, jednak tym razem ujrzała również coś jeszcze – błękitny sufit nad liściastymi koronami. Nie, nie sufit, to była przestrzeń. *Niebo* – odpowiednie słowo przyszło samo. W błękicie świeciła jasna kula wysyłająca ciepłe, przyjemne promienie – *słońce*. Pod niebem latały małe kształty – *ptaki*. Denil zazdrościła im wolności. Jak cudowne musiało być uczucie latania w otwartej, nieskończonej przestrzeni.

Dźwięk otwieranych drzwi brutalnie obudził dziewczynę. Do schowka wszedł nieznanemu mężczyzna, który tylko wziął z szafy jakiś drobiazg. Następnie wyszedł, nie dostrzegając sylwetki skulonej wśród robotów. Denil przetarła zaspane oczy, gdy przypomniała sobie ostatnie wydarzenia. Musiała dalej uciekać. Wierzyła, że niebo naprawdę istnieje, a skoro go tu nie ma, świat jest większy niż białe korytarze. Gdzieś musiało znajdować się wyjście!

Wyszła ostrożnie z pomieszczenia i zdała sobie sprawę, że jest sama. Gdzieś

w oddali ktoś zniknął za rogiem, ale nikt inny nie przychodził – tylko roboty wciąż jeździły. Wcześniej korytarze pełne były ludzi, dlaczego teraz to się zmieniło? Dziewczyna poczuła niezrozumiały lęk, ale go zignorowała. Szła niepewnie, a jej kroki wywoływały straszny hałas w takiej ciszy. Rozglądała się uważnie w poszukiwaniu wyjścia. Ujrzała drzwi nieco różniące się od innych, ze strzałką skierowaną w dół. Kiedy Denil podeszła bliżej, drzwi otworzyły się, ukazując małą kabinę. *Widziałam już takie!* – zdała sobie sprawę. – *Ktoś wszedł do niej, a po jakimś czasie wyszła inna osoba. Kabina prowadzi do innego miejsca, więc musi być wyjściem! Nie, strzałkę skierowano w dół, więc przejście pewnie też prowadzi w dół. Niebo jest na górze, więc muszę znaleźć strzałkę ku górze* – myślała. Pobiegnęła przed siebie, szukając odpowiednich drzwi, lecz wszystkie prowadziły w dół. Z czasem zaczęła rodzić się w niej rozpaczliwa desperacja, choć nie potrafiłaby jej nazwać.

Nagle usłyszała za sobą tupot stóp. Odwróciła się gwałtownie. Prerażona zobaczyła zmierzającą ku niej sporą grupę strażników. Pobiegnęła, lawirując między robotami. Mężczyźni także musieli je omijać. Parę stalowych maszyn kopnęła ze złością w stronę prześladowców. Wściekły okrzyk potwierdził

skuteczność tego ciosu, więc dziewczyna powtórzyła go parę razy. Przewróciła się nagle, otarła sobie kolana oraz ręce. Zignorowała piekący ból. Musiała uciec. Potem nie będzie okazji. Nie chciała wracać do białego pokoju. A przede wszystkim – nie chciała zginąć.



– Obiekt kieruje się w twoją stronę, czekaj przy głównej windzie – dobiegł głos z komunikatora.

– Tak jest – odparła służbiście Silvia.

Przemierzała puste korytarze oraz sprawdzała różne pomieszczenia. Parę godzin temu kazano wszystkim pracownikom udać się w jedno miejsce, by ułatwić poszukiwania. Dopiero niedawno D.E.N.I.L. wreszcie się ujawniła. Kobieta stanęła przy drzwiach jedynej windy prowadzącej na powierzchnię. Niespodziewanie usłyszała nienaturalnie głośny tupot stóp, a po chwili zza zakrętu wypadła nastolatka w fioletowym uniformie. Spojrzenie dziewczyny powędrowało do windy. Uśmiechnęła, lecz zbladła, gdy dostrzegła Siliwę. Zza zakrętu dochodziły również odgłosy kroków wskazujące na nadciągającą pogoń.

– Pomóż mi – wyszeptwała D.E.N.I.L.

Wyglądała całkiem jak człowiek. Zachowywała się całkiem jak człowiek. Ona *była* człowiekiem. Silvia wpatrywała się w przerażoną, zdesperowaną twarz nastolatki. Skąd ona wiedziała, że tu jest wyjście? Musiała być inteligentniejsza, niż ktokolwiek przypuszczał. Naukowcy stworzyli człowieka, wygrali z odwiecznymi prawami natury. Tyle możliwości... Dzięki sekcji Silvia zdoła przywrócić życie Martinowi. Przywróci radość rodzicom, którzy do tej pory nie wyszli w pełni z żałoby po pierworodnym synu. Przez te wszystkie lata tak bardzo tęskniła do beztroskiego życia sprzed choroby Martina...

Nie odrywała spojrzenia od dziewczyny. Kroki pogoni były coraz głośniejsze. D.E.N.I.L. czekała z błagalną miną. Jeżeli naukowcy ją dostaną, zginie. Te oczy... Oczy Martina... Czy ona, doktor Silvia Jonser, jest w stanie poświęcić człowieka, aby wskrzesić brata? Przecież ta dziewczyna została sztucznie wyprodukowana! Ale... ona mimo to jest człowiekiem, nie *rzeczą*. I miała oczy Martina... To tak jakby on przed nią stał i błagał bezgłośnie...

Kroki docierały jakby zza mgły.

Czy poświęciłaby brata dla ratowania innych? Czy ma prawo decydować o innych? Czy tylko dlatego, że D.E.N.I.L. została *stworzona* przez naukowców, może być przez nich zabita? Ale te możliwości... Ratowanie, a nawet przywracanie ludzkiego życia! Przecież w historii poświęcano się dla ogółu!

Ochroniarze zbliżali się nieuchronnie, komunikator rozbrzmiał podniesionymi głosami, a Silvia podjęła decyzję.

Chwilę później strażnicy wpadli na skrzyżowanie korytarzy, jednak nie znaleźli nikogo. ♦

Mateusz Hirsz

Obława



Mateusz Hirsz – szeroko pojętą fantastyką interesuje się od wczesnego dzieciństwa, kiedy to popełnił kilka strasznych opowiadań. Od tego czasu stara się pisać coś choć trochę dobrego i ma nadzieję, że kiedyś się tego nauczy. Blastery i kosmiczne batalie zawsze były mu bliższe niż trolle i łuki. Ulubieni autorzy ostatniego czasu to Dukaj i Dick.

Zasami zastanawiam się nad reakcją moich rodziców, gdy po badaniu prenatalnym jakiś miły doktor powiadomił ich, że spodziewają się niewarunkowanego dziecka. Oczami wyobraźni widzę, jak rozważają wspólnie aborcję, jak ojciec uderza pięścią w stół, chcąc pozbyć się spółdzonego ciężaru. Matka płacze, wycierając swoje niebieskie oczy w haftowaną chusteczkę, która zawsze wisiała na kuchence. Nie spodziewali się takiego problemu. Mimo iż przytrafia się to tylko siedmiu procentom noworodków, ja zostałem naznaczony ubytkiem, ułomnością w dzisiejszych czasach nieakceptowaną. Nigdy nie pobiegnę tak szybko, jak moi rówieśnicy, nie dostrzegę rzeczy, które będzie mi pokazywał nauczyciel. Nie obsłużę najprostszego urzędnika.

Mimo starań mego ojca, matka nie pozwoliła mi usunąć. Pewnie uznała, że jest w stanie wychować mnie na „normalnego” człowieka. A może wciąż żywiła nadzieję, że da się wszczepić mi udoskonalenia. Tak czy siak, urodziłem się. Zdrowy, bez skaz, jednak potencjalnie niezdolny do życia w nowym świecie. Najmłodsze dzieciństwo pamiętam jako matkę ze łzami w oczach, bawiącą się ze mną najprostszymi zabawkami, lub ojca z butelką, patrzącego na mnie z pogardą. Mimo że zrezygnowali z robota opiekuna, nie byli w stanie mnie zaakceptować, obdarzyć miłością. Byłem wychowany z obowiązku.

W dziesiąte urodziny osiągnąłem tak zwany wiek produkcyjny i zostałem odebrany rodzicom. Ani ja, ani oni nie potrafiliśmy wykrzesać z siebie czegoś więcej niż uczucia lekkiej ulgi. Żołnierz podał ojcu jakiś papier do podpisania, wrzucił mnie do furgonetki pełnej dzieci w moim wieku i z moją ułomnością, a potem zawiózł mnie do miejsca, gdzie miałem spędzić resztę życia w pyle, brudzie, wśród bólu i krwi. Do świata, w którym ofiary genów były traktowane gorzej niż zwierzęta, a wszystko to było akceptowane i popierane przez uprzywilejowane społeczeństwo.

W obozie SouthNY razem ze mną pracował prawie tysiąc więźniów. Nasz dzień składał się z posiłku zrzuconego nam w foliowych workach z murów, kilkunastogodzinnej, niewolniczej pracy w kopalni oddalonej o kilka kilometrów

od obozu oraz ze zdawkowych rozmów z towarzyszami niedoli. Co jakiś czas znajdował mnie ktoś, kto chciał wymienić porcje żywności na miejsce w przepelnionym baraku albo stosunek z którąś z dziewczynek. Plułem obrzydliwcom w twarz i odchodziłem pospiesznie.

Najstarszymi z nas byli dogorywający trzydziestolatkwie. Wszystkich czekała bolesna śmierć, zazwyczaj na raka płuc spowodowanego chmurami ciężkich metali wędrującymi do nas od północy, od zabójczej, nieosiągalnej metropolii. Bez wszczepów uodparniających krtań i płuca byliśmy nadzy i bezbronni wobec zabójczego środowiska. Wszczepowcy na murach patrzyli na nas obojętnie, jak w atakach kaszlu spryskiwaliśmy krwią ziemię pod stopami. Żadnej opieki medycznej nigdy nam nie zapewniono.

Jedynie informacje ze świata wyszarpywaliśmy ze schrypniętych od płaczu gardeł nowych dziesięcioletnich współwięźniów. Pozornie nic niewarte urywki zdań były dla nas źródłem tęsknoty i rozpacz. Grupami przepytaliśmy dzieciaki, by potem wspólnie domyślać się, co znaczy: „pan z telewizora powiedział, że będzie więcej pieniędzy”, „tata powiedział, że rząd zaraz upadnie”, „ładna pani z filmów nie żyje”. Czasami podsłuchaliśmy coś z rozmów strażników. Staliśmy się mistrzami układanek, w których brakowało elementów, a nie mogliśmy zobaczyć całego obrazka na pudełku. Patrzyliśmy przez dziury po sękach w drewnianym płocie niewiedzy na nieznaną świat – miejsce niewyobrażalnie odległe, beznadziejnie nieosiągalne, mimo że oddalone od nas tylko o pół metra muru i pole minowe.

Niedawno przyjechała nowa, coroczna dostawa. Siedemnasta w moim życiu. Siedemnasty raz, gdy dzieciaki weszły przez zbrojoną bramę obozu, otoczyła je zgraja śmierdzących mężczyzn, szarpiących więźniów za ręce i wykrzykujących chrapliwe rozkazy.

- Gdzie jeździłeś z mamą?!
- Co nowego zbudowali w mieście?!
- Kto jest teraz prezydentem?!

Modzi przeważnie zaczynali płakać w ciągu kilku sekund i uciekali, ale my nie potrafiliśmy odpuścić. Biegliśmy za nimi i zarzucaliśmy pytaniami, chłonąc każdą informację, która wyślizgnęła się z ich wykrzywionych ust. Głód wiedzy o świecie, w którym nigdy na dobrą sprawę nie żyliśmy, był silniejszy niż sumienie. Informacje z zewnątrz stały się dla nas swoistym murem, który dawał nam oparcie, by nie upaść na cztery łapy, by nie zatracić się w instynkcie przetrwania.

Wczoraj jednak dzieci stały jak zaczarowane, z bojowymi wyrazami twarzy. Po chwili ucichliśmy zdumieni. Niczym nieufne psy, odsunęliśmy się od grupki i zmierzylśmy dziesięciolatek zmęczonymi spojrzeniami. Wreszcie jeden z nich, wymoczek o tłustych, czarnych włosach, w połamanych, ledwo trzymających się na nosie okularach, wystąpił przed szereg.

- Powiedzieli nam, że będziecie na nas krzyczeć i że nie mamy wam nic mówić, bo i tak się wam nie przyda.

Zapadła cisza. Grupką młodych wstrząsnął dreszcz, gdy zobaczyli nasze twarze. Staliśmy w bojowych pozach z szaleństwem w oczach. Jedyna nić została zerwana. Oficjalnie zamieniono nas w zwierzęta. Zostaliśmy pokonani przez grupkę dzieci. Strażnik na murze odbezpieczył broń i wycelował w nasz tłum.

Jeden z nas, przeraźliwie chudy brodacz, nie znałem go nawet z widzenia, chyba po trzydziestce, rzucił się z rykiem na dzieciaki. Rozległ się soczysty trzask. Mężczyzna spoczął na ziemi, jego mózg zachlapał nasze twarze.

– Każdy – ryknął wszczepowiec stojący nad nami – kto zostanie złapany na rozmowie z dzieckiem, łamie nowe prawo obozu SouthNY i zostanie zastrzelony na miejscu.

Ukryłem twarz w dłoniach, czekając, aż rozpęta się piekło.

W kilka godzin po dostawie świeżaków plotka rozeszła się po całym obozie. Natychmiast zaczęły się zakrojone na szeroką skalę poszukiwania winnych. Piętnowani byli więźniowie, którzy coś przeszkrobali lub byli tylko o to podejrzewani. Zdarzyło się kilka przypadków spontanicznych ukamienowań. Strażnicy widocznie odpuścili sobie jakiegokolwiek interwencje, postanowiwszy poczekać, aż uspokoiemy się sami. Każdy, kto zbliżył się do dziecka, kończył z kulką w głowie lub, w przypadku okrutniejszego strzelca, w gardle. Ja sam schowałem się w jednym z baraków, sparaliżowany myślą, że właśnie jestem świadkiem własnego upadku. Wręcz widziałem, jak kolejne myśli tracą podłoże, jak rozbiegają się w chaotyczne ciągi fobii i natręctw. Bezwiednie zacząłem się kołysać, a tży same popłynęły strumykiem po pokrytych pyłem policzkach.

Następnego dnia ze snu pełnego dzieci i grobów obudził mnie cios w ramię.

– Wstawaj, brudasie, nie mam zamiaru wyrabiać za ciebie dniówki!

Poderwałem się z posadzki baraku jak oparzony i natychmiast tego pożałowałem. Nadwyrężone mięśnie i poobijane kości sprzeciwiły się moim zamiarom dużo gwałtowniej niż zwykle. Nastolatek, który mnie obudził, właśnie wychodził na zalane porannym słońcem podwórze. Miał najwyżej trzynaście lat, a zachowywał się jak stary kryminalista. Potarłem twarz, zbierając myśli i walcząc z narastającą chęcią rzucenia się pod lufy strażników. Powoli podniosłem się z ziemi i wytoczyłem na zewnątrz. Zwarte szeregi więźniów czekały już na mnie, sprawdzane przez strażników z zapalem rozdzielających razy pałkami. Dołączyłem do pierwszego lepszego towarzysza. Dzieci pochlipywały cicho. Nastolatkiwie z szarymi twarzami napięci byli jak struna, choć wystarczyło, że czarna pałka zakołysała się niedaleko, a dostawali niepowstrzymanych drgawek. Starsi, jak ja, pochyleni ze zmęczenia i schorowani, czekali na wymarsz jak zwierzęta na rzeź, nie okazując żadnych emocji. Wszystkich pokrywała wżarta w skórę warstwa rdzawego pyłu.

– Wyyyymarsz! – zakrzyknął kapitan, wsadzając pałkę za pas.

Zbrojona brama otworzyła się ze zgrzytem, a karne szeregi wyruszyły na zewnątrz. Ruch każdego z nas był bacznie obserwowany przez ubranych na czarno katów. Wykrzywiali usta w pogardzie i kopali nas po kostkach, nienawidząc za sam fakt istnienia. Słońce wzeszło już nad horyzont i paliło nas w plecy, sprawiając, że pot lał nam się po skroniach. Strażnicy z termoregulacyjnymi wszczepami już dawno zapomnieli, jak to jest odczuwać gorąco lub zimno. Żyli cały czas w warunkach optymalnych dla organizmu, jakby zamknięci w szczelnych kokonach. Marsz się dłużył, stopy zapadały się w piasku, chore płuca nie wytrzymały. Odkaszniałem krwią. Bolało. Zebrałem kilka współczujących spojrzeń od młodzików. Uśmiechnąłem się do nich smutno – niech martwią się sobą. Dla mnie i tak za późno.

Po godzinie marszu dotarliśmy do budynku kopalni. Prezentował się niczym struktura zbudowana przez obcą cywilizację. Pełen ostrych kątów i załamań, spawów, zwojów kabli. Ściany zbudowane z niezwykle twardego, błyszczącego materiału ociekały olejem. Setki małych i dużych kominów wychodzących ze ścian i płaskiego dachu pluły w niebo cuchnącymi wyziewami. Cała budowla zdawała się górować nad nami, grozić nam pożarciem i strawieniem w mrocznych, rozgranych do białości wnętrznościach. Wkoło roily się owadokształtne roboty pomocnicze, co chwilę przystając i wydając z siebie świergoczące dźwięki. Nadawały całości wygląd mon-strualnego mrowiska.

Zatrzymaliśmy się zgodnie i, rozdzielivszy się, weszliśmy do budynku. Gorąco uderzyło w nas, powodując ostre ataki kaszlu. Ledwo oświetlona hala pełna była kontenerów z rudami metali. Roje robotów nadzorowały naszą niewolniczą pracę. Ściany pokryte były obrzydliwym elektronicznym śluzem, którym żywiły się pseudoinsekty. Popędzani ciosami pałek podzieliiliśmy się na grupki i weszliśmy do rozsypujących się wind, by z prędkością kilkunastu metrów na sekundę zniknąć pod ziemią.

Kopalnia ułożona była w planie przypominającym korzenie drzewa. Od głównego, szerokiego na kilkanaście metrów pnia na głębokości dwunastu metrów odchodziło dwadzieścia odnóg. Do każdej z nich przydzielanych było kilku więźniów i strażnik.

Przełknąłem ślinę, walcząc z narastającym w uszach ciśnieniem, i rozejrzałem się po towarzyszach. Młodzi rzygali pod stopy, nieprzywykli do ścisku w spadającym pudle, mimo że bywali tu codziennie. Pojedyncza świetlówka migotała szaleńczo przy każdym wstrząsie. Temperatura rosła. Wreszcie winda stanęła, a nasza grupka wytoczyła się w ciemność. Czekał tu już strażnik wskazujący dzisiejszy kierunek kopania. Każdy chwycił za ciężkie, nieporęczne wiertło i skierował swój umęczony wzrok na czarną jak smoła ścianę. Metal używany do wyrobu wszczepów. Zabijała nas praca polegająca na uzyskiwaniu tego, czego nigdy nie będziemy mieć.

Pierwsze urządzenia ryknęły, a ja przystąpiłem do otepiającej pracy. Okruchy przyskały nam w twarze, znacząc je drobnymi rankami. Pył oślepił i powodował bolesne krztuszenie. Co jakiś czas ktoś mdlał, a pałka strażnika atakował go ze zdwojoną siłą. Niewolnik, jęcząc, podnosił się i wznawiał pracę z oczami pełnymi łez, niezależnie od wieku. Po chwili każdy z nas, tak jak codziennie, modlił się o szybką i bezbolesną śmierć.

W momencie krańcowego wyczerpania do mojego towarzysza po lewej podszedł strażnik i przesunął mu pałką po kręgosłupie. Uśmiechnął się złośliwie.

– Kop, kop. Światu przyda się wasza parszywa robota.

Splunął mu na plecy i dodał, krzycząc prosto w ucho:

– JEBANY ROBAK!

Wtedy coś się stało.

Praca ucichła w jednej chwili. Wszyscy popatrzyli niewidzącym wzrokiem na strażnika. Ten cofnął się o krok i sprawnym ruchem zdjął z pleców karabin.

– Wracać do roboty! Już!

Twardego głosu nie osłabiła ani nuta strachu. Jednak jego oczy zdradzały całą prawdę. Panikował i zamierzał wezwać wsparcie. Nie można było na to pozwolić.

Zaczepiony robotnik zaatakował pierwszy. Padł na ziemię przeorany serią. To jednak nie powstrzymało reszty. Coś w nas pękło. Ta jedna uwaga, ta obraza, jedna wśród tysięcy każdego dnia, pozwoliła nam przekroczyć linię dzielącą nas od wściekłych zwierząt. Gryźliśmy, drapaliśmy, padaliśmy z dziurami po kulach w klatce piersiowej, ale nasz napór nie malał. W końcu wyrwaliśmy broń z zakrwawionych rąk strażnika i kolbą roztrzaskaliśmy mu głowę. Ponownie nastała cisza.

Staliśmy nad zmasakrowanym ciałem, dysząc ciężko i patrząc po sobie. Czterech naszych zginęło w walce, zostało nas siedmiu. I karabin. Trzymał go barczysty młodzik. W końcu przełknął ślinę i powiedział:

– Myślicie, że zdążył wezwać wsparcie?

– Myślę, że nie – pokręciłem głową – ale wszyscy wiemy, co oznacza to wydarzenie.

Uzbrojony pokiwał głową, wyraźnie akceptując mnie jako przedstawiciela ogółu.

– Albo teraz spróbujemy się stąd wyrwać, albo zabiją nas na miejscu.

Bez żadnego planowania wiedzieliśmy, jak mamy postąpić. Wtłoczyliśmy się do windy i zacisnęliśmy zęby. Ciężar w żołądku pogłębiał się, w miarę jak zbliżaliśmy się do powierzchni. W końcu puszka zatrzymała się ze zbolałym skrzypnięciem. Drzwi rozsunęły się, a stojący przy nich mundurowy obejrzał się zdziwiony.

W hali rozległ się pojedynczy trzask strzału. Strażnik osunął się na posadzkę, trzymając się za gardło. Ostatkiem sił wysłał do innych psychoimpuls. Zawył alarm. Ruszyliśmy sprintem do wyjścia, strącając z pleców rzucające się na nas roboty. Słyszeliśmy, jak strzelają do nas inni wszczepowcy, a kule uderzają w ściany i podłogę tuż obok naszych stóp. Jeden z naszych padł, ochlapując nas krwią. W ciągu kilku sekund wypadliśmy na zewnątrz, dysząc ciężko i rozglądając się za jakimkolwiek środkiem transportu.

– Tam! Łazik pustynny!

Faktycznie, niedaleko stał błyszczący w zachodzącym słońcu gąsienicowy łazik. Kształtem przypominał pochylonego żuka, pokrytego płatem lekkiego jak piórko materiału.

Nie mogłem dłużej czekać. Kopniakiem w plecy powaliłem zaskoczonoego młodzika i odebrałem mu karabin. Moi dawni towarzysze spojrzeli na mnie, przerażeni niespodziewaną zdradą. Dopiero gdy jeden z nich padł od mojej kuli, rzucili się na mnie z wściekłością. Byłem jednak mądrzejszy od strażnika i dysponowałem większą przestrzenią. Odskokczyłem od nich, strzelając ponownie, i ruszyłem biegiem do pojazdu. Strażnicy wreszcie wypadli z kopalni i poczęli szyc do nas krótkimi seriami. Usłyszałem, jak za moimi plecami więźniowie padają w piach z krzykiem. Przyspieszyłem. W końcu dopadłem łazika i zacząłem panicznie naciskać losowe przyciski.

Tata startuje auto, jak przyklada dłoń do ekraniku.

Przycisnąłem pokrytą krwią strażnika rękę do błyszczącej powierzchni.

– DNA rozpoznane. Witaj, Tobiasie Weitz – oświadczył kobiecie głos.

Silnik zaryczał. Cudem ruszyłem z kopyta, potrącając dwóch wszczepowców. Wiatr uderzył mnie w twarz, osuszając łzy szczęścia. Kule świszczały nad uchem, towarzysze byli rozstrzeliwani na miejscu, a ja pędziłem ku tak dawno odebranej wolności.

Czysto chemiczny zapach fiołków połaskotał ją w nozdrza, skutecznie rozpędzając resztki snu.

– Sen zero dziewięć pięć pięćdziesiąt siedem zapisany pomyślnie – oznajmił męski głos z głośniczka przy nagłówku łóżka. – Znaki szczególne: dym, śmierć, drzewo. Zalecana wizyta u psychologa.

Jane przetarła oczy i ziewnęła rozzdzierająco. Żaluzje już się unosiły, wpuszczając do pomieszczenia mdłe światło. Kuchenka zapikała, a woda w napełnionym zawczasu czajniku zaczęła się gotować.

Gdy Jane wstała i ruszyła w stronę garderoby, na ścianach pojawiły się najnowsze doniesienia z popularnych portali informacyjnych, a głos komputera cytował dopasowane do jej upodobań nagłówki.

– Odnotowano kolejne ataki terrorystyczne w Paryżu, władze wciąż uspokajają.

– Unia Amerykańska żąda wycofania wojsk chińskich z terytorium dawnej Arabii Saudyjskiej.

– Kolejny bunt w ośrodku życia.

Kobieta już stała przy lustrze i przyglądała się sobie krytycznie. Przesunęła palcem po dwóch nowych zmarszczkach w kąciach oczu.

– Rozwiń ostatni.

Plansza z informacją pojawiła się na lustrze, całkowicie uniemożliwiając Jane poprowienie makijażu. Ze złością odepchnęła wirtualny prostokąt. Ten pokoziołkował przez pół pomieszczenia i spoczął na szybie prysznicowej.

– Głos – padł krótki rozkaz.

– Wczoraj, to jest ósmego maja, w ośrodku życia SouthNY doszło do buntu bezwyszczepieńców. W strzelaninie, która wybuchła z powodu karygodnej beztroski personelu, życie straciło dwóch strażników i dziewięciu buntowników. Jest to już trzecia próba ucieczki w tym miesiącu. Na szczęście żadnemu z mieszkańców ośrodka nie udało się zbiec. Gubernator stanu Nowy Jork wyraziła zaniepokojenie poziomem bezpieczeństwa w ośrodkach życia i zapowiedziała podwojenie liczby pracowników odpowiedzialnych za bezpieczeństwo więźniów.

Głos automatu zastąpiło nagranie z konferencji prasowej. Dźwięczny głos pani gubernator z trudem przebijał się przez trzaskanie setek dziennikarskich fleszy.

– Pamiętajmy, że bezwyszczepieńcy są upośledzeni przez naturę i nigdy nie będą mogli w sposób pełny uczestniczyć w społeczeństwie. Ich zacofanie mentalne powoduje, że mają skłonności do wybuchów agresji. Z największym ubolewaniem łączę się w żalu z rodzinami pracowników ośrodka i obiecuję podwyższenie poziomu zabezpieczeń we wszystkich takich ośrodkach w stanie. Dziękuję.

Komputer zamilkł.

Jane poczyniła ostatnie poprawki we fryzurze, spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się.

– Trzy... – zaczęła odliczać na głos – dwa... jeden...

– Przychodzące połączenie od Hank Memphs.

Punktualnie co do sekundy. Stawało się to, szczerze mówiąc, troszkę nudne.

– Odbierz.

Z głośnika zacharczał przepity głos przełożonego. Stary tłuścioch z pewnością już napoczał swoją obrzydliwą whiskey. Jane darzyła go mieszaniną odrazy i głęboko skrywanej sympatii. Sprawiał wrażenie człowieka, który od czterdziestu lat budzi się zdumiony faktem, że nie mieszka już z mamą. Wiecznie otoczony dymem tanich papierosów i wonią chińszczyzny. Przed śmiesznością chroniły go tylko chłodny profesjonalizm i lata doświadczenia.

– Hej, Jane, jak tam poranek?

– Chujowy.

Kobieta przeszła do pokoju dziennego i pobrała z automatu poranny przydział protein. Spojrzała z niesmakiem na kilka tabletek i torebkę proszku. Pigułki tyknęła od razu, a bazę żywieniową zalała wrzątkiem z czajnika. Po mieszkaniu rozszedł się zapach kurczaka, zabijając słabnącą i tak kwiatową woń.

– Bez takich mi tutaj. Tobie przynajmniej nie kładą na biurko papierowych wieżowców. Boże, jak ja się na to zgo...

– Ilu tak naprawdę uciekło?

Zupopodobny twór smakował jak zawsze obrzydliwie. Jane karciała siebie w myślach, że postanowiła wydać pensję na wszczep rejestrujący sny. I do tego zrobiła to po pijaku. Boże.

– Nooo, tym razem szczęśliwie tylko jeden. Miał równo trzy dychy na karku, powinien zdychać. Łatwizna. Weź najpierw sprawdź ten obóz, może coś ci powie.

Kubek wylądował w zmywarce, a kobieta potarła oczy. Co to ona miała jeszcze...

– Powiedz mi Hank, jak to możliwe, że dowiaduję się o tym zaraz po mediach?

Ciszę w głośniku zinterpretowała jako wzruszenie ramion. Podeszła do okna w nadziei, że zapomniany codzienny obowiązek w końcu wypłynie na powierzchnię umysłu.

Obłe ciała wysokościowców lśniły w porannym świetle jak masa perłowa. Wzrok bezwiednie podążający w dół natrafiał na mroczną przeszkodę. Sto metrów pod mieszkaniem Jane wszystko zniknęło w kłębach toksycznego smogu. Poniżej roztaczał się świat odwiedzany jedynie przez małą garstkę mieszkańców. Między wieżowcami, połączonymi tytanowymi autostradami, leniwie przesuwały się sterowce, wyświetlając na swych pękających brzuszysskach pstrokate reklamy.

– Techniki mają lepszą. Pieniądze, które dostajemy od państwa, są gównie warte. Teraz widzisz, jakie masz tego efekty.

Począł!

Kilkoma gestami otworzyła okienko mailowe i przebiegła wzrokiem po tematach wiadomości. Powiększ penis, wczasy w tropikach, nauka języków, nowe wszczepy zwiększające odczucia, nowe wszczepy rozrywkowe, Mary Joe. O to to...

– Zmiana gubernatora niczego nie zmieniła? Myślałam, że obiecywała dotacje...

– Jane, nie przestajesz mnie zaskakiwać. Od kiedy im wierzymy? Zresztą, chuj. Nawet, gdyby nam cokolwiek przekazała, nie starczyłoby tego nawet na połowę naszych potrzeb. O, popatrz, dostałem pismo, że nasz arest na

powierzchni jest przepelniony. A przecież to nasz największy. Muszę znowu wysłać tam czyścicieli.

Cześć Jane, jak tam sobie żyjesz? Słuchaj, zebrałam dla Ciebie ekipę do pracy w terenie. Garry Stephenson i Tora Winters. Daj znać, jak sobie radzą. To w sumie żółtodzioby. Buziaki.

Westchnęła głęboko. Tylko tego jej brakowało. Szybko wystukała podziękowanie.

– Jane, wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku. Kobieta odwróciła się od ściany z marsową miną.

– Hank, nie masz naprawdę nic ciekawszego do roboty niż szczebiotać ze mną? Jakies papiery? Umowy? Długi?

– Och, jakże mógłbym odmówić sobie porannej rozmowy z moją ulubienicą. Zresztą, wbrew mitom, my, mężczyźni też mamy podzielność uwagi. Caire! Przynies mi kawę!

Jane założyła płaszcz i nakazała komputerowi sprawdzenie systemów bezpieczeństwa. Kolejne zielone kółka materializowały się na ścianie przy drzwiach wejściowych.

– Whiskey się już skończyła? Jakie ty masz tempo?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Kobieta uśmiechnęła się i zakończyła połączenie. Gdzieś tam w biurze Hank obrażony pochyłał się nad kolejnym wnioskiem.

Zamknąwszy za sobą drzwi, wyszła na wspólny korytarz. Minęła buczącego robota czyszczącego i wyszła na zewnątrz, mrużąc oczy. Dzięki sówitej łapówce mieszkała na poziomie aerostrady, dzięki czemu nie musiała tłoczyć się w windach. Spłaszczone do absurdalnych kształtów samochody śmigały kilka metrów od niej w przezroczystej rurze, która kojarzyła się jej z przełykiem. Jane wysłała w przestrzeń żądanie taksówki. Z nudów przeleciała wzrokiem po kilku innych mieszkańcach wieżowca 14b.

Moda musiała wykręcić przedziwny zawijas, każąc ludziom przyodziewać się

w takie stroje. Wysokie kołnierze, prawie łyse głowy niezależnie od płci, buty z wysokimi na kilka cali koturnami. Szaty mieniające się kolorami tęczy opinały klatkę piersiową i ręce, ale luźno zwisały od pasa w dół. Pokryte fantazyjnymi tatuażami twarze i dłonie bezustannie drgały, podczas gdy ich właściciele wysyłali dziesiątki wiadomości naraz, sprawdzając ceny akcji swoich spółek czy po prostu plotkując. Trend na wszczepianie sobie czego popadnie, bez świadomości konsekwencji, Jane ominęła szerokim łukiem. Wołała mieć jeden wszczep na jedną potrzebę. Nie lubiła sztucznego przepychu.

Pod jej nogami zabłyśł, widoczny tylko dla niej, napis, oznajmiający, że taksówka przyjedzie za kilka sekund. Angielskie słowa wymieszane z kilkoma chińskimi ideogramami świeciły rzucającym się w oczy żółtym. Jane zanotowała w pamięci zmianę interfejsu komunikacyjnego. Taksówka zatrzymała się naprzeciw niej, a pneumatyczne drzwi otworzyły się z sykiem. Pozostali oczekujący spojrzeli na kobietę z zazdrością. Funkcja policjanta przyznawała jej wyższy priorytet w komunikacji miejskiej. Jane rozsiadła się na skórzanym siedzeniu i poleciła taksówkarzowi, aby zawiózł ją na policyjne ładowisko.

Gdy z prędkością blisko stu mil na godzinę pokonywali kolejne poziomy układu pokarmowego miasta, Jane skupiła się na danych osobowych

uciekinię przystanych przez Hanka. Kolejne linijki tekstu, uzupełniane często zdjęciami, wyświetlały się na szybie pojazdu.

Imię i nazwisko nadane przez rodziców: Tobias Rinardson

Numer porządkowy: 1109458

Wiek: 30 lat, 195 dni

Wyrobiana norma: przeciętna

Charakter: stabilny psychicznie

Stan zdrowia: zaawansowany rak płuc

Przewidywany pozostały czas życia: ok. 50 dni

Na dobrą sprawę Jane goniła chodzącego trupa. Zamyśliła się. Niestety, bez wszczepów medycznych te ścierwa mogły przenosić nieznane mutacje wirusów. Gdyby przedostał się do miasta... Trzeba go odnaleźć i odstrzelić jak najszybciej. Poczula przyjemny ciężar kabury na udzie. Taksówkarz przyspieszył, a jelito aerostrady wzniosło się ostro do góry.

– Przewidywana opłata: trzydzieści dwa dolary – zabrzmiał z sufitu damski głos. – Proszę przyłożyć palec do wskazanego miejsca.

Na przyciemnionej szybie między nią a kierowcą zabłyśnię zielony kwadracik. Jane postąpiła zgodnie z poleceniem.

– Opłata pobrana. Dziękujemy za podróż.

Taksówka zatrzymała się łagodnie. Kobieta wysiadła z samochodu, i zobaczyła, jak na okrągłej platformie na szczycie wysokościowca rozpędza podwójne śmigło helikopter policyjny. Jego kanciasta, uniemożliwiająca wykrycie przez prymitywniejsze radary sylwetka zabawnie kontrastowała z wszechobecną, bezpłciową obłoczną.

Po kilku sekundach Jane już siedziała w helikopterze, patrząc, jak znikające w smogu budynki oddalają się z nadszpodziewaną szybkością. Pilot się nie odzywał. Pewnie jednym okiem oglądał kolejny odcinek popularnego serialu. Jego twarz co jakiś czas wykrzywiła się w grymasie złośliwego uśmiechu.

Policjantka niecierpliwie odgoniła zbędne ekrany z okna i z rozrzewaniem zmierzyła wzrokiem oddalającą się powoli metropolię. Zobaczyła dawne granice miasta, opuszczone i na wpół zniszczone przedmieścia pokryte piachem oraz kilkanaście wieżowców wystających spomiędzy wydm jak rozczapierzone palce dłoni szukającej ratunku. Co jakiś czas pustynne odrętwienie przerywał przetaczający się tuż nad ziemią kłęb dymu.

Po kilku minutach lotu na horyzoncie zamajaczył obóz, a kilka kilometrów dalej – buzująca dymem kopalnia. Pilot wyraźnie odebrał polecenie od wzywających strażników i wylądował obok miejsca masakry więźniów. Jak ostatni idiota nie pomyślał, że pył podwiany przez śmigła zasypie wszystkie ślady.

Zirytowana kobieta wyskoczyła z helikoptera i momentalnie stanęła twarzą w twarz z kierowcą obozu. Ten zmierzył ją pełnym powątpiewania wzrokiem i zaczął wydierać się do niej w huku śmigłowca. Jane zamachała dłonią przy ustach radząc poczekać, aż pilot wreszcie poderwie maszynę. W końcu hałas ucichł na tyle, aby móc prowadzić rozmowę.

– Jane Goods. – Policjantka podała rękę kierowcy.

– Tony Mertio. – Mężczyzna lekko uściśnął jej dłoń.

Wszczepy w palcach natychmiast pobrały informacje o rozmówcach. Nad głową Tony'ego pojawiło się streszczenie informacji o jego wieku, służbie i uprawnieniach.

– Otrzymałam poprawne informacje? Uciekł wam jeden więzień?

Kobieta zmierzyła wzrokiem kopalnię zamkniętą na czas jej dochodzenia. Kierownik pokiwał głową.

– Tak, jeden z najstarszych. Ale w buncie uczestniczyła cała grupa. Wszystkich pozostałych wyeliminowano.

Jane podeszła do drzwi kopalni i przejechała palcami po tytanowych ścianach.

– W którym kierunku zbiegł?

– Na północ, w stronę miasta.

– Dlaczego nie wezwaliście helikoptera na pomoc?

Męczyczna opuścił głowę i splótł ręce na plecach.

– Podczas strzelaniny zniszczona została antena transmisyjna. Udało się ją uruchomić dopiero wieczorem. Wkrótce potem przyszła burza piaskowa, która zasypała wszelkie ślady.

Jane dotknęła małej, zaschniętej plamki, a wszczep w jej palcu natychmiast zanalizował kod DNA. Na ścianie wyświetlił się wykres i spis przewidywanych mutacji. Było wśród nich kilka zmian dotąd nieznanych. Trafiała za pierwszym razem – to była krew Rinardsona.

– Może pan udostępnić nagrania z kamer? Nie mogłam uzyskać do nich dostępu zdalnie.

– To przez zabezpieczenia. Jesteśmy praktycznie odcięci od sieci. Będziemy musieli udać się do stróżówki niedaleko obozu, zapraszam.

Mundurowy wskazał dłonią stojący niedaleko łazik pustynny.

Podróż minęła na niezobowiązującej rozmowie ze strażnikiem. Biedak żalił się Jane, że każdy pracownik jest do obozu zsyłany na rok, przez co uniemożliwia mu się kontakt z bliskimi, a co gorsza – z najnowszymi wszczepami i informacjami. Wiatr dał im prosto w oczy. Policjantka wykorzystała moment ciszy, by uporządkować wszystkie zebrane dotąd informacje. Zawieszona w powietrzu ikony plików jak klucze ptaków zgodnie szybowały do odpowiednich folderów i podkategorii. DNA, rysopis, możliwe zachowania, zakres poszukiwań...

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Tony.

Zszedł z pojazdu i otworzył przed Jane drzwi stróżówki. Mały budynek przyklejony do muru obozu sprawiał bardzo niepozorne wrażenie, jednak po przekroczeniu progu kobieta zacamokała z podziwem na widok przestronnego i w pełni zwiirtualizowanego wnętrza. Na przezroczystych fotelach wylegiwali się trzej strażnicy wlepiający znużony wzrok w kilka monitorów. Mertio odchrząknął znacząco i wskazał na towarzyszkę.

– To Jane Goods, przyleciała tu w sprawie zbiega. Mamy udostępnić jej materiały z monitoringu.

Pojedynczym gestem jeden z mundurowych przeniósł obraz z ekranu na ścianę i powiększył go znacznie.

– Tu mamy sytuację z wczoraj, w korytarzu górniczym numer 8.

Jane obserwowała, jak grupka więźniów rzuca się na strażnika i brutalnie odbiera mu życie.

– Tu z windy...

Okrwawieni mordercy dyszeli ciężko i o czymś dyskutowali.

– Mamy audio? – Tony poskubał kozią bródkę.

W tym samym momencie z głośników popłynął czyjś chrapliwy głos.

– *Biegniemy prosto do drzwi. Nie oglądamy się na nic, nie zwalniamy, prosty sprint. Na zewnątrz zauważyłem łazik pustynny. Myślę, że damy radę się na nim zmieścić.*

– *Oddaj mi broń.*

Młodzieniec na ścianie poruszył się niespokojnie.

– *Chyba zwariowałaś...*

Jego wypowiedź przerwały otwierające się drzwi windy.

– Teraz kamera w hali – oznajmił beznamiętny głos.

Kobieta patrzyła, jak bezwściepieńcy zabijają kolejnego strażnika i pędzą ile sił w kierunku wyjścia. Skojarzyli się jej ze stadem małych – bezrozumnych zwierząt kierowanych tylko instynktem.

W końcu dopadli drzwi.

– Obraz z kamery robota przemysłowego.

Na ekranie pojawił się chybotały obraz grupki uciekinierów wytaczających się z budynku i dyszących ciężko na prażącym słońcu. Robot był wielkości jamnika, więc na ścianie wyświetlane były głównie nogi więźniów. Nagle jeden z nich padł zakrwawiony na ziemię, a inny uciekł z pola widzenia.

– To właśnie nasz zbieg. Zdradził swoich towarzyszy. Nieludzkie, prawda?

Kobieta pokręciła głową. Była zdegustowana.

Po kilku sekundach materiał się skończył. W ostatnim kadrze widać było strażników strzelających do oddalającego się łazika. W kadr dostała się także ręka jednej z ofiar strzelaniny.

Jane wysłała nakaz przylotu do pilota helikoptera i odwróciła się do kierownika obozu.

– Zostały pogwałcone podstawowe zasady bezpieczeństwa. Możecie uważać się za szczęściarzy, wiedząc, że uciekł tylko jeden osobnik.

Nie czekała na odpowiedź. Wyszła prosto w burzę pustynną, wznieconą przez wirniki lądującego helikoptera. Wsiadając do niego, zerknęła jeszcze na czerwonego ze złości mundurowego zatraskującego za nią drzwi stróżówki. Rozparła się na fotelu i westchnęła ciężko. Czekają ją prawdopodobnie zejście na powierzchnię miasta.

Słońce już dawno schowało się za horyzontem, a ja wciąż z wielką prędkością pokonywałem kolejne kilometry pustyni, przekrwionymi oczami wpatrując się uparcie w majaczące w oddali miasto. Wiatr ryczał potępieńczo, a tumany kurzu tańczyły dookoła jak dusze zdradzonych towarzyszy. Adrenalinowy szal zdążył już zniknąć gdzieś daleko w ciemnościach. Pozostała mi tylko szarpiąca wnętrzności chęć osiągnięcia celu, o którym marzyłem tyle lat.

W miarę jak zbliżałem się do Nowego Jorku, przerażenie brało górę nad szczęściem. Miasto przypominało kilka pali wetkniętych w suchą, pustynną ziemię, ale tylko na najwyższych piętrach błyskały nęcące światła. Reszta majestatycznych budowli ukryta była w cieniu i szarym obłoku smogu. Gdy po kilku godzinach dotarłem wreszcie do pierwszego wieżowca, zatrzymałem się, zgasilem silnik, zsiadłem z maszyny i rozkaszałem się, znacząc krwią ziemię pod nogami. Miałem przed sobą znikający w ciemnościach las gigantów. Między pniami betonowych drzew nie było jednak żadnej ściółki. Były tu tony

śmiecii, rozkładające się ciała i złogi toksycznych pyłów. Panowała świdrująca uszy cisza. Rozejrzałem się dookoła w rozpacz. Cel, który osiągnąłem, okazał się światem gorszym niż ten, z którego uciekłem. Nie widziałem żadnej możliwości przeżycia w tym koszmarnym środowisku.

Ataki kaszlu się nasilały, a ja przestawałem cokolwiek widzieć. Upadłem na plecy i wbiłem wzrok w czubki budynków. Połączone były siecią cieniutkich nitek, które mieniły się setkami błysków. Wyglądało to tak, jakby gigantyczny pająk obrał to nierealne miejsce na swoją kryjówkę. Odetchnąłem głęboko. Powietrze szybko się ochładzało. Zadrzałem. Nie miałem pomysłu, co teraz robić. Pustka kołatała się w mojej głowie, przyprawiając mnie o wszechogarniającą rozpacz i zrezygnowanie. Chciałem umrzeć, leżąc na warstwach odpadów ze strumyczkiem krwi sączącym się z ust i wzrokiem utkwionym w marzeniach.

Wtem usłyszałem czyjś nierówny krok. Błyskawicznie podniosłem się na klęczek i rozejrzałem dookoła. W ciemnościach przede mną spomiędzy wieżowców wychynęła świecąca mdłym światłem latarnia. Trzymana była przez zgarbioną postać powoli zmierzającą w moim kierunku. W miarę, jak istota przybliżała się do mnie, czułem narastający smród. Cała pokryta była wieloma warstwami brudnych szmat. Na jej szyi ciążył wisior zrobiony z setek powyginanych kluczy. W końcu zdołałem zobaczyć twarz. Postać okazała się przeraźliwie oszpeconym mężczyzną. Brakowało mu jednego oka i dużej części nosa. Z ust wypląwał mu strumyczek śliny, czyniąc jego wygląd jeszcze bardziej odpychającym.

– Ty! – prychnął, wymachując latarnią. – Ze mną. Już!

Aby wzmocnić siłę perswazji, wyciągnął spomiędzy fałd swojego szmaccianego ubioru mały pistolet.

– Kim jesteś?

Wyprostowałem się i otarłem usta. Człowieczek był o połowę niższy ode mnie.

– JUŻ!

Czarne oko broni nie pozostawiało mi wyboru. Poza tym była to moja jedyna szansa na przeżycie w tym otoczeniu. Musiałem postawić wszystko na jedną kartę.

Szelest naszych kroków przetaczał się echem w ciemnościach rozjaśnianych jedynie wątym światłem latarni przybysza. Co jakiś czas zerkałem na zastygłą w grymasie niesmaku twarz niespodziewanego towarzysza. Ten parł przed siebie, dając mi nadzieję, że wie, dokąd idzie. W końcu cisza i narastająca ciekawość sprawiły, że otworzyłem zaciśnięte ze strachu usta.

– Dokąd idziemy?

Staruszek łypnął na mnie okiem.

– Do swoich.

Poprawił chwyt pistoletu.

– Kim są swoi?

– Zbieramy takich jak wy. – Splunął mi pod nogi. – Bezwyszczepieńcy.

Pouciekali, szukają wolności. Głupi. Przydacie się nam.

Zrobiło mi się zimno.

– Ruszaj się zwawej, ścierwo.

Uderzył mnie w plecy tak mocno, że straciłem dech. Po chwili dopadł mnie kolejny atak kaszlu. Mężczyzna odsunął się z obrzydzeniem.

– Już niedaleko, gnoju. Kilka kroków naprzód chyba dasz radę zrobić? I wyprostuj się, więcej za ciebie dostanę.

Podszedł i, krzywiąc się, pchnął mnie lufą pistoletu. Podniosłem się i ruszyłem w dalszą drogę.

Faktycznie, po kilku minutach dotarliśmy do zasypanej w połowie przez śmieci studzienki ściekowej. Prowadząca w głąb drabina zniknęła w ciemnościach.

– Schodź, natychmiast. Czekają już tam na ciebie.

Chcąc nie chcąc chwyciłem za lodowate szczeble i ruszyłem w drogę do piekła. W miarę jak opatulana mnie ciemność, robiło się coraz cieplej. Szczeble momentalnie pokryły się kropelkami wody, przez co musiałem znacząco zwolnić w obawie przed długim upadkiem. W końcu dno studni pojaśniało bursztynowym blaskiem. Gdy wreszcie stanąłem na pewnym gruncie, moim oczom ukazał się nierealny widok.

Patrzyłem na gigantyczną jaskinię oświetloną tysiącami pochodni. Ich blask ledwo był w stanie odkryć całość podziemia. Płomienne refleksy skakały po gładkich, kamiennych ścianach. Okazało się, że wieże mają nadzwyczaj głębokie fundamenty, bowiem i tutaj jaskinia poprzębiana była na wylot betonowymi pniami. Do każdego przyklejone było kilka skleconych z kartonu i metalu domków. Między budynkami poruszało się w nieskończonym i chaotycznym rytmie kilkaset figurek ludzkich, pochylonych, czołgających się, kaszlących i upadających raz po raz. Każdy niósł z sobą jakieś źródło światła, przeważnie latarnię bądź pochodnię. Podziemne miasto wyglądające jak obraz nędzy i rozpacz rozciągało się tak daleko, że nie byłem w stanie dostrzec przeciwległego końca. Wszystko zniknęło w trochę tylko rozrzedzonych ciemnościach. Po kilku sekundach i litanii przekleństw z drabiny zszedł mój prześladowca.

– Do... ych... przodu, ścierwo.

Posłusznie, bo pchany w plecy zimną lufą, ruszyłem między bursztynowe śmietnisko. Mijający mnie żebracy wykrzywiali pogardliwie twarze i spluwali mi pod stopy. Dzieci ze śmiechem rzucały we mnie puszkami i kamieniami, a dorośli obsypywali przekleństwami. Wydawało mi się, że jestem jedyną formą człowieczą, która jest niżej w hierarchii bytów. Tylko mnie mogli traktować w ten sposób, dając upust nienawiści do błyszczącego luksusem świata, którego pewnie w większości nie widzieli na własne, zaropiałe oczy. Moje stopy zapadały się w mieszaninie śmieci i odchodów.

Po kilku chwilach pogrążającego marszu dotarliśmy do chatki przycupniętej przy jednym z pni. Sprawiała trochę lepsze wrażenie niż pozostałe. Przez jedyne zabrudzone okienko rzucił na mnie okiem chudy brodac. Łowca niewolników zapukał, a drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Mam tu jednego do zawszczepienia i wysłania w górę – odchrząknął grubas i wyciągnął rękę po zapłatę.

Brodacz przesunął po niej palcem.

– Dwieście dolarów, jak zwykle.

Handlarz pokiwał głową i odszedł w ciemność, zostawiając mnie na pastwę nowego właściciela. Ten okazał się trochę miłszy.

– Proszę, wejdz. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Przestąpiłem próg i rozejrzałem się zaciekawiony. Wnętrze przypominało prymitywną salę operacyjną. Na środku stało przykryte białym prześcieradłem

łóżko oświetlone ze wszystkich stron kilkoma latarniami. Ze ścian zwieszały się dziesiątki różnego rodzaju skalpeli i nożyc, pojemników z gazą i wacikami. Po podłodze walały się opakowania z lekami. W kącie zauważyłem chyba nawet robota medycznego.

– Proszę, połóż się na stole. Nie bój się, nie zrobię ci... ech... krzywdy.

Pełen wątpliwości i świadom, że na zewnątrz czeka zgraja gotowa rozerwać mnie na strzępy, spełniłem jego polecenie. Brodacz w tym czasie chodził wzdłuż ścian i wybierał narzędzia.

– Oto co zaraz ci zrobię. Wszczepię ci chip w dużej mierze symulujący działanie wszczepki. Tak, wiem, że jesteś genetycznie nieprzystosowany. Nie szkodzi.

Podszedł do mnie i płynnym ruchem wbił mi igłę strzykawki w szyję. Poczuliśmy, że natychmiast tracę władzę w kończynach.

– Niestety twoje... nieprzystosowanie sprawi, że podczas używania chipu będziesz odczuwał silny ból. Dlatego właśnie to rozwiązanie nie przyjęło się w świecie cywilizowanym. – Chirurg zamachał skalpelem w stronę sufitu. – Technologia zresztą wynaleziona przez wojsko, Bóg jedyny raczy wiedzieć, jak spadła na to dno. W każdym razie wykorzystujemy ją przy produkcji niewolników dla wyższych sfer. Zabawne, nieprawdaż? Ostatnie czasy, gdy używano niewolników na masową skalę, przypadają grubo ponad kilka tysięcy lat temu. A teraz to... Cóż, nie mnie oceniać, dzięki temu mam pracę. Żyję.

Doktor kładł kolejne narzędzia obok mego bezwładnego ciała. Podszedł też do robota i wklepał procedurę startującą.

– Też kiedyś byłem mieszkańcem górnych partii miasta. Von Heinberg, nie słyszałeś o mnie, niestety, w obozach wicie przecież zabawnie mało. Kiedyś popełniłem kilka... błędów i musiałem schronić się tutaj. Pozwolili mi zostać, pod warunkiem, że pomogę im w biznesie, co właśnie robię. – Chwycił za jeden ze skalpeli i przechylił moją głowę. – Musisz wybaczyć mi brak znieczulenia. Skończyło się kilku pacjentów temu, a dostawy z powierzchni spóźniają się już tydzień.

Tył mojej głowy eksplodował fontanną bólu. Czuliśmy, jak skalpel wwierca się bezlitośnie między kręgi szyjne. Gdybym mógł krzyknąć, jestem pewien, że usłyszeliby mnie w obozie. Teraz jednak mogłem wydawać z siebie tylko przepełnione cierpieniem stęknienia.

– Cśśś... – uspokajał mnie lekarz. – Robbie, będę teraz potrzebował twojej delikatnej roboty.

Kilka tytanowych szpikulców wbiło się w skórę dookoła nacięcia i wstrzyknęło tam nanosok. Rozpierał on tkanki, sprawiając, że zrobiło mi się czarno przed oczami. Kątem oka zauważyłem Heinberga trzymającego między kciukiem a palcem wskazującym średniej wielkości pastylkę.

– Teraz zaaplikuję ci chip. Może troszkę zabołec.

Kolejna eksplozja bólu. Moje nerwy, napięte do granic wytrzymałości, wyły i miały się w ciele niczym stado palonych w piecu węży. Nie widziałem już nic. Czerwień bólu zalała mój wzrok, zostawiając mnie sam na sam z cierpieniem. Poczuliśmy, że powoli odpywam w niebyt.

– O nie, nie, nie! – krzyknął lekarz, wbijając kolejną igłę w moją szyję. – Teraz nie możesz mi tego zrobić. Nie teraz.

Zakręciło mi się w głowie, ale odzyskałem pełną przytomność. Ból towarzyszył mi nadal, jedynie przybrał na sile. Jednak coś się zmieniło. W moim polu widzenia pojawiły się ciągi niezrozumiałych dla mnie liczb i słów.

Budowanie interfejsu: 99%...

Ładowanie systemu: 23%... 25%... 27%...

Przystosowywanie użytkownika: 562246... 7... 8... aktualizacji nerwowych

Pomijanie nieprzynależności genowej: 4... 3... 6... 7...

Sprawdzanie połączeń nerwowych między składnikami systemu: 86743...

4... 8...

Pomijanie medaktualizacji: 45%... 46%... 47%...

Wyszukiwanie najbliższej bazy danych...

Nie widziałem nic prócz powodzi różnych błyskających obrazków i animacji. Dźwiękowa apokalipsa rozryczała się w moich bębenkach, mimo że nigdzie nie mogłem zobaczyć źródła tego hałasu.

Kupuj tylko w U nas najniższe Najlepsze Tylko u nas Najnowsze aktualizacje do wszczepek Tysiące możliwości KUPUJ!

Pobieranie najnowszych filtrów antyspamowych: 87%... 88%... 89%...

Nagle wszystko ucichło. Ból wciąż pulsował z tyłu głowy, byłem jednak w zbyt wielkim szoku, by odczuwać go wyraźnie. Poruszyłem niepewnie głowę.

– Siedź spokojnie, zaszywam cię. Jeszcze chwila cierpliwości. Potem pobawisz się nową zabawką. Zapewniam cię jednak, że szybko zapragniesz, żebym ją usunął.

Jego słowa docierały do mnie jak przez mgłę. Ignorowałem narastający ból, kiedy z wszelkich możliwych miejsc pobierałem informacje o wciąż tak dalekim – w sensie fizycznym – świecie. Jednak teraz mogłem go mieć na wyciągnięcie ręki w każdym momencie. W moich oczach, nie wiem, czy z bólu, czy ze wzruszenia, zabłyśły łzy. Tak długo na to czekałem.

– Dobra, jesteś gotów. Powinienem powiedzieć, żebyś się oszczędzał, ale wiedząc, gdzie lecisz...

Nie zwracałem na niego uwagi. W końcu dopadłem w wirtualne łapy news o mojej ucieczce. A raczej... Zatuszowali moją ucieczkę! Jednak ból tym razem okazał się tak silny, że nawet tajemniczy lek medyka nie powstrzymał mnie przed wpadnięciem w umysłową ciemność.

– Obudź się, nowy, bo zaraz cię przemielą – powiedziała pomarszczona twarz, patrząc mi z determinacją w oczy.

Zdałem sobie sprawę, że stoję, a ręce skute mam kajdankami. Po dobie spędzonej w klatce wraz z innymi więźniami pięta obdarły mi ręce do krwi. Znajdowałem się w gigantycznej kolejce niewolników. Nie wszyscy ci ludzie byli uciekinierami z obozów, to jasne. Przytłaczająca większość pochodziła stąd, z Podziemia. Sprzedani przez rodziny za artykuły niezbędne do życia.

Czekaliśmy tu już kilka godzin. Na co? Nikt nie wiedział, a strażnik zamiast odpowiedzi rozdzielał razy kijem. Przypomniał mi się obóz i ciosy, które dostałem jeszcze dziś rano, czekając na wyjście do kopalni. Zdawało się, że te wydarzenia rozegrały się kilka lat temu.

Kolejka wreszcie ruszyła, a człowiek przede mną, przekonawszy się, że wybudziłem się z letargu, odwrócił się i zrobił kilka kroków do przodu. Przypomniałem sobie, jak zaledwie kilka minut temu ściągałem wielkie ilości danych, ignorując ciemniejący od bólu wzrok. Czułem się jak ćpun w fabryce narkotyku. Rozochocony, przewijałem choćby najmniej przydatne informacje na ścianach jaskini i starałem się je naraz zapamiętać. Kolejne programy wypalały się żywym ogniem na moim karku sprawiając, że mimowolnie

syczałem z bólu. Teraz jednak szukałem celu naszego powolnego pochodu. Wyteżyłem wzrok. Czy przypadkiem w ciemnościach nie czekał na nas jakiś pojazd?

Po kilku godzinach moje podejrzenia się potwierdziły. Pakowali nas, ściśniętych jak sardynki, do ładowni kilkunastu helikopterów. Kolejne maszyny podrywały się do lotu i znikaly w wydrążonym w sklepieniu jaskini tunelu na powierzchni. Ich piloci musieli wykazywać się nie lada zdolnościami, bo wirniki śmigłowców oddalone były od ścian jaskini tylko o kilka metrów. W końcu i ja doczekałem się upchania w ciasnej ładowni. Gdzieś między moimi towarzyszami niedoli usłyszałem płacz dziecka. Zacisnąłem pięści. Teraz liczyło się tylko przeżycie.

Helikopter poderwał się do lotu. Zatrzęsło nami kilkakrotnie, jedni powpadali na drugich, rozległy się przekleństwa i groźby. Nienawiść wśród więźniów rosła szybko.

– Sprzedadzą nas bogaczom – rozległ się cichy głos na wysokości moich ramion. To ogolony na tyso młodzieniec o bezzębnych ustach patrzył na mnie z rezygnacją. – Ci dadzą nam kolorowe ciuszki i każą sobie usługiwać. Na noc będą nas zamykać w ciemnicy i karmić resztkami. Będziemy umierać powoli z głodu i wyczerpania, aż w końcu kiedyś każą innemu niewolnikowi wyrzucić nas przez balkon lub zastrzelić i zmyć naszą krew z dywanu. Czekają nas straszliwa śmierć, ale przedtem gorsze życie na kolanach.

W ciemnościach poczułem, jak jego łyzy spływają mi po ramieniu. Pochyliłem głowę, a moje płuca rozdarł szloch.

W windzie mieściło się pięciu ludzi. Jane poruszyła się w niewygodnym kombinezonie chemicznym. Ekranoscianka jej hełmu informowała ją nieustannie o poziomie wszelkich gazów i zanieczyszczeń wewnątrz skafandra i w otaczającym ją środowisku. Na razie wszelkie wskaźniki spoczywały spokojnie na zielonych polach. Policjantka potoczyła wzrokiem po czterech towarzyszach. Dwóch cyngli, Maft i Francis, z karabinami szturmowymi na wszelki wypadek, odziani w specjalne, wzmocnione kombinezony z maskami przypominającymi wyszczerzonego demona, plus technik, Garry, straszny sukynsyn i seksista oraz Tora z genkryminalki, która miała pomóc przeanalizować najnowszy genom uciekiniera.

Winda spadała do poziomu powierzchni już od dobrych kilku minut. Wskaźnik wysokości migał ubywającymi liczbami.

– Skurwysyn jest dobry, skoro na razie żadne helikoptery go nie znalazły.

– Garry poruszył się niespokojnie. – Tylko tamten łazik. Ciekaw jestem, czy komputer coś zapisał w bazie danych.

– Po to tu jesteś, nie pamiętasz? – Tora obejrzała się na kompana. Szybko jej hełmu błysnęła w świetle pojedynczej windowej świetlówki.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie siedzisz w kuchni i nie robisz mi kanapki – zarechotał technik.

Dźgnął znacząco łokciem jednego z cyngli. Ten nie zareagował, zajęty ściąganiem map najbliższego otoczenia wieży.

– Drodzy państwo, jesteśmy w policji, nie w gimnazjum. – Jane wkroczyła do akcji, zanim kłótnia rozgorzała na dobre. – Proponuję zamknąć mordy i zaznajomić się z dostępnymi informacjami.

Garry zamilkł na chwilę, by zaraz rozedrzeć się na nowo:

– PODZIEMIE!?! Jaja sobie robicie? Przecież nas tam zjedzą!
– Dlatego mamy ich. – Jane wskazała kciukiem na Mafta.
– Ale ich tam są tysiące! Poza tym, skąd ten pomysł?!
– Setki łowców niewolników krzających się po Powierzchni. Jeden musiał na niego trafić.

– Pierdolisz bzdu...

Mężczyzna zgiął się w pół po ciosie w brzuch, prawie wypuszczając trzymany w ręce tablet.

– Nie zapominaj, kurwa, gnoju, z kim rozmawiasz – powiedziała Jane, poprawiając rękawicę.

Drzwi windy nareszcie się otworzyły, a wszystkie wskaźniki środowiskowe wskoczyły na alarmującą czerwień. Momentalnie włączył się filtr powietrza, zmieniając oddech w chrapliwe syczenie.

– Idziemy. Łazik powinien być gdzieś na południu.

Przeszli kilka metrów, brodząc w resztkach, gdy z ciemności wyłonił się zgarbiony korpus pojazdu. Technik podbiegł do niego i, podłączwszy kilka kabli do obudowy, pobrał wszelkie potrzebne informacje. Zagapił się w tablet na chwilę.

– Gówno, moi państwo. – Pokręcił głową. – Mam po prawdzie jakieś zakłócenia w genomie rozpoznanym przez maszynkę, ale jeśli pacnął ją dłonią ubabraną w krwi strażnika, to nic z tego nie będzie. Wysłałam to, co mam.

Obu kobietom w rogu widzenia wyświetliła się mała koperta.

– Tora, zrobisz coś z tym?

– Niewiele. Muszę mieć trochę więcej literek. Tak samo jak z tą krwią, którą mi wysłałaś. Za mało danych. Zanieczyszczenia.

Jane już nie słuchała. Uruchomiła program śledzący i ślady zbiega podświetliły się na jaskrawożółto. Podążyła tym tropem. Po chwili pojawiły się także ślady łowcy nagród, oznaczone na pomarańczowo.

– Za mną, drodzy państwo. Mam kierunek.

Czwórka odzianych w błyszczące kombinezony postaci ruszyła przed siebie, rozglądając się niespokojnie. Gdy dotarli do drabiny, Garry znów się ożywił.

– No nie. No nie. Nie wejdę tam za żadne, kurwa, skarby.

– W jaki sposób w ogóle dostałeś się do policji? W nagrodę wchodzisz tam pierwszy.

– Nie ma mowy.

Jane spojrzała na jednego z cyngli, a ten posłusznie odbezpieczył broń.

– Dezercja?

– No już, już, schodzę. Boże, jesteś zrobiona z kurestwa.

– Miło mi to słyszeć. Szybciej.

Gdy w końcu znaleźli się w Podziemiu, Jane z niesmakiem potoczyła wkoło wzrokiem. Za każdym razem obiecywała sobie, że więcej tu nie wróci. Władze miasta zawarły kruchy rozejm ze śmierdzącymi robakami spod ziemi. Nowy Jork nie mieszał się w sprawę Podziemia w zamian za możliwość wejścia tu na żądanie. Policjanci się nie oszukiwali – wielki procent poszukiwanych zbiegów krył się właśnie tutaj. Jednak umowa pozwalała im złapać tylko tego, kogo w danym momencie szukali. W innym razie czekał ich bunt zwierzaków i utrudniony dostęp do powierzchni.

Grupka zbiła się ciasno i ruszyła przez tłum do biura Nadzorcy. Ludzie, których mijali, rozstępowali się z mieszaniną strachu, respektu i nienawiści. Cyngle poprawili uchwyty na swoich karabinach. Kombinezony sprawiały, że policjanci wyglądali jak kosmici. To na pewno nie pomagało w zdobyciu zaufania tubylców, ale Jane o to nie dbała. Zresztą wskaźniki zanieczyszczeń wciąż tańczyły między zieloną a pomarań-czową strefą. Gdy dotarli pod niski budynek wodza, dwóch strażników zmierzyło ich złymi spojrzzeniami i niechętnie przepuściło dalej.

– Witam Wysokościowców!

Był otyły, zarosnięty, brudny i śmierdzący wtórnymi petami. Rozwalony na wóchoatej kanapie Nadzorca otoczony był najrozmaitszą elektroniką, która, szumiąc i pikając, sprawiała wrażenie żyjącej istoty. Grubas zamachał ręką obciążoną kilkoma sygnetami.

– Czego dusze pragną?

– Zbiega. Uciekł wczoraj z obozu.

Jane ucieszyła się, że ma na sobie hełm kryjący wyraz obrzydzenia na jej twarzy.

– I jeszcze go nie złapaliście? Ho, ho, ho! Cieniasy!

Francis uniósł broń, ale zanim tubylec zdążył wziąć oddech, policjantka machnęła przecząco ręką. Wysłała kompanowi wulgarny wirtualny ochrzan.

– Nawet nie próbujcie ze mną takich sztuczek. – Brudas odchrząknął i poprawił się na sofie. Fałdy tłuszczu zafalowały. – A skąd mam wiedzieć, który z nowych to wasz zbieg?

– Jeśli go złapaliście, to wszczepiliście mu chip. Macie więc na pewno jego DNA. Nie wierzę, że tego nie katalogujesz.

– A co ja za to dostanę? – Uśmiech rozlał się po mordzie Nadzorcy.

Jane miała już dość.

– Nie zastrzelimy cię na miejscu. Albo nam go znajdziesz, albo przyzywamy wsparcie. Trzymaj się umowy. Możemy porozmawiać inaczej.

– Hola hola! – Jej rozmówca wciąż się uśmiechał. – Jesteście na moim terenie. Nie będę wysłuchiwał waszych smęceń. Chcę coś. Powiedzmy...

Maft nie wytrzymał i przytknął lufę karabinu do czoła tubylca. Ten rozdarł się momentalnie, przez co do pomieszczenia wpadli strażnicy, ścięci w jednej chwili serią drugiego policjanta.

– Znajdź nam go! – syknęła Jane.

Jeden ze strażników chrypiał z przestrzelonym gardłem. Policjantka wyjrzała na zewnątrz. Ludzie zebrali się dookoła chaty, ale nie wyglądali na gotowych do walki. Wróciwszy do środka, kazała cynglowi dobić ofiarę broczącą na podłodze.

– Dobra! – Krzyk grubasa zbiegł się z hukiem strzału. – Już go szukam. Szukam. Dajcie mi tylko wzór.

Tora z obrzydzeniem przytknęła palec do wnętrza jego dłoni, a ten przelał dane na leżący niedaleko staroświecki tablet.

– Mam go. Trzy minuty temu został zapakowany do helikoptera i wysłany do niejakiego Hotta. Znacie? Szycha kupiła go jako niewolnika. Jeśli się pospieszycie, możecie go złapać w locie.

Jane wraz z ekipą wybiegła z chaty, równocześnie pobierając najnowszą mapę podziemia.

– Ładowisko śmigłowców jest w tamtą stronę! – wrzasnął Garry, machając ręką na południe. – Tam!

W kilka minut dopadli jednej z maszyn i, grożąc pilotowi porcją ołowiu w mózgu, wyrzucili go z maszyny. Garry poderwał helikopter w górę. Z szaloną prędkością przelecieli przez tunel, wypadli na Powierzchnię i zeskanowali przestrzeń powietrzną. Śmigłowiec, którego szukali, był pół kilometra nad nimi.

– Za nimi, już! – wrzasnęła Jane, ściągając hełm.

Garry pocący się za sterami tylko kiwnął głową. Cała ekipa pozbyła się niewygodnych kombinezonów i odetchnęła odświeżonym przez klimatyzację powietrzem. Dwa wirniki pracowały na pełnych obrotach, a oni już lecieli w stronę wyższych części miasta. Wyminieli z mistrzowską precyzją skomplikowaną sieć powietrznych autostrad i wreszcie zobaczyli, jak ścigany helikopter ląduje przy jednej z rezydencji na samym szczycie wieży. Dotarli do strefy luksusowej.

Widok, który rozciągał się przed nimi, był spełnieniem snu artysty alternatywnego. Setki tysięcy stroboskopowych lamp szyło w ciemne niebo laserowymi seriami. Neony porozwieszane na ścianach wież zapraszały do zabaw w jednej z setek dyskotek. Animacje wyświetlane w powietrzu między budynkami szczyrzyły się do nich fluoryzującymi szczękami. Na balkonach przyklejonych do ścian rytmicznie skakały tłumy żądnych zabawy ludzi. Powietrze było aż gęste od ciężkich nut sączących się z zewnętrznych głośników. Musieli lawirować między dziesiątkami sterowców oślepiających reklamami.

– Dopadniemy ich, jak będą wychodzić z maszyny. Szybciej!

Faktycznie, chwilę później podlecieli na tyle blisko, że zobaczyli figurki niewolników wysypujące się z ładowni. Błyski stroboskopów nadawały kolumnie więźniów chorobliwie nierealny wygląd. Z perspektywy Jane wyglądałi bezcieleśnie, upiornie, niczym zjawy. Nieliczni strażnicy poganiali niewolników w stronę wejścia do rezydencji.

Jane chwyciła za mikrofon od megafonu. Jej słowa popędziły przez rozrywane wirnikami powietrze.

– ODDAJCIE NAM JEDNEGO Z WASZYCH ZBIEGÓW. WYŁĄDUJEMY I ZABIERZEMY GO. NIE CHCEMY ROZLEWU KRWI.

– Szefowo... – Garry wskazał na lądowisko. – To nie wygląda dobrze.

Łowcy niewolników nie zamierzali poddać się bez walki. Rozpoczęli regularny ostrzał maszyny, na przedniej szybie pojawiło się kilka pajęczków.

– Nie mamy żadnej broni, to śmigłowiec transportowy!

– Kuuurrrrrwaaaa! – Tora ledwo trzymała się na nogach, gdy Garry trząsał maszyną.

– Ląduj, mamy miejsce! Będziemy się napierdalać na piechotę! Mamy jakąś broń?

– Na pokładzie są jeszcze trzy karabiny!

Francis otworzył szafkę z grafiką czaszki.

– Garry, ląduj, do chuja pana!

– Próbuje, kurwa!

W końcu maszyna uderzyła o lądowisko ze świdrującym uszy zgrzytem. Wciąż pod intensywnym ostrzałem strażników otworzyli właz i odpowiedzieli silnym ogniem. Wszelkie umowy zostały zerwane w kilka sekund, a ich resztki rozpedził odór prochu.

– Uważajcie, aby nie trafić żadnego ze zbiegów! Chcemy zabić naszego! Tora, skanuj otoczenie. Znajdź więźnia o genomie podanym przez Nadzorcę! Fuck!

Kolejna kule rykoszetowały od kadłuba.

– Mam go!

Tora przeładowała karabin rzucony jej przez Mafta. Zważyła go w dłoniach.

– 200 metrów na północ! – Wyjrzała na moment z maszyny i rozejrzała się po lądowisku. – Tamten z długimi włosami!

– Wy! Ze mną! – Jane wskazała na cyngli. – Garry i Tora! Ostanijcie nas!

Kryjąc się pod huraganowym ogniem osłony, parła do przodu. Zobaczyła, jak jej cel ucieka skuty w stronę wejścia do rezydencji. Któryś z przeciwników zachwiał się trafiony w nogę i spadł w przepaść między wieżami, wrzeszcząc rozdzierająco. Kolejny padł bez życia, gdy zbłąkana kula wyrwała mu kawał czaszki. Jane wciąż pędziła w samobójczym sprincie przez targaną wiatrem platformę, wzywając przy okazji wsparcie. Przewidywany czas przybycia: pięć minut. Zdecydowanie za długo.

Pędziłem przez lądowisko gnany setkami pocisków. Jakiś neon trzasnął nad moją głową, obsypując trasę mojej ucieczki deszczem iskier. Po sekundzie dopadłem drzwi do środka wieży i przeleciałem niby jeden z pocisków przez sterylne korytarze. Ściągnięty mimochodem program nawigacyjny podświetlał mi drzwi prowadzące do wyjścia. Kolejne klamki błyskały alarmującym żółtym, kolejne mleczne korytarze, wciąż grzmiący za mną krok. Ciężący w płucach, chrapliwy oddech niósł się echem po pustych pokojach. W końcu dopadłem ciężkich, czerwonych drzwi. Klamka zamrugała zapraszająco.

Jane pędziła przez surowe pomieszczenia. Zbieg uciekał tak szybko, że nie miała czasu wycelować. Dyszała głośno, broń robiła się coraz cięższa. Jednym okiem pilnowała mapy pomieszczeń, w uszach piszczwały kolejne wiadomości od Garry'ego.

– Słuchaj, uszkodzili wirniki, długo nie wytrzymamy...

Nie wyrobiła na zakręcie, uderzyła ramieniem w ścianę, syknęła z bólu.

– Tora, trafili Torę! Jane, zostaw go, wracaj!

Płynnym ruchem wycelowała, ale bezwzszczępieniec zniknął za kolejnymi drzwiami.

– Jane, Tora nie żyje. NIE ŻYJE, KURWA! Zostałem ja i Francis. Mamy tylko kilka magazynków!

Widziała, jak otwierał czerwone drzwi, które według mapki prowadziły do...

– Jaaaaane!

Chyba jednak nie żyję i trafiłem do piekła. Pochłoneńta mnie czerwień, a ostre światło uderzyło w źrenice, na moment pozbawiając wzroku. Ogłuszający hałas sprawił, że zachwiałem się i zatoczyłem kilka kroków do przodu. Ktoś uderzył mnie łokciem pod żebra, rzucając wulgaryzmami. Spocona dziewczyna z przećpanymi oczami wyszczerzyła do mnie złote zęby i zniknęła w podskakującej równo tłuszczy. Dym wypełnił moje płuca,

powodując obezwładniający atak kaszlu. Wtem drzwi, przez które wpadłem, otworzyły się z hukiem. Zatonąłem w masie ludzi, licząc na to, że jakimś cudem zgubię pościg. W oddali widziałem połyskującą po drugiej stronie sali klamkę.

Zbieg przedzierał się przez rozochocony tłum. Jane natychmiast posłała w przestrzeń potężny psychosygnal, przez co wszyscy schodzili jej z drogi, patrząc z mieszaniną wyrzutu i chorej ciekawości. Potrafiła mężczyznę niosącego świecące drinki, a fosforyzująca ciecz ochlapała jej mundur. Zakłęła paskudnie i przyspieszyła.

– Proszę się rozejść, NYPD! – krzyczała i na żywo, i na poziomie wszczępek.

– Wśród was jest niebezpieczny zbieg!

Zobaczyła, jak dwaj ochroniarze próbują pochwycić bezwzszczepieńca, ale ten jakimś cudem wyminął ich i wpadł przez niebieskie drzwi na niższe piętro dyskoteki.

Z trudem łapała oddech, a wszczępki nie nadążały z dostarczaniem hormonów wspomagających. Odbezpieczyła broń i ostatkiem kontynuowała pościg.

Stoczyłem się ze schodów i dotkliwie się obiliśmy. Nie zwracałem już uwagi na strumyczek krwi wypływający z ust. Tłum sam już rozstępował się przede mną, policjantka musiała wysłać wiadomość. Muskularny murzyn zamachnął się wielką jak młot pięścią, ale nie trafił. Wytraciłem pęd i, padając na podłogę, uniknąłem ciosu. Nim udało mu się wyprostować i znaleźć mnie wzrokiem, ja już pędziłem przez błyskające na niebiesko, spocone, śmierdzące prochami przestrzenie. Moje pole widzenia zwężyło się wyraźnie z bólu, czułem, jak w żyłach niestrudzenie pulsuje stara, dobra adrenalina. Chwyciłem kolejną klamkę i nagle uderzyła mnie cisza oraz zimno. Trafiłem na balkon. Ślepa uliczka. Odwróciłem się spanikowany, ale drzwi już się uchylały.

Trafiła go raz, w nogę. Upadł, skomląc jak pies, cały zakrwawiony, charcząc z wysiłku. Zamarła z pistoletem przytkniętym do jego brudnego czoła.

Wsparcie za trzy minuty.

– Na co czekasz?! – wydarł się dzikus, a z jego oczu popłynęły łzy. – Zabij mnie, jak zwierzę, jak coś gorszego. Przecież nie mam prawa żyć!

– To nic osobistego, uwierz – wyszeptła Jane, mimo że jej twarz wykrzywiła odraza.

– Jakbyś po prostu nie mogła mnie zostawić, pozwolić mi żyć. Pozwól nam wszystkim żyć. – Bezwzszczepieniec przesunął wzrok na płynący nad nimi sterowiec. Białe światło reklamy nadało scenie nierealny wygląd. – Też jesteśmy ludźmi. Też mamy prawo do życia.

– Żyłeś. W obozie – rzekła bez przekonania kobieta.

Dyszący strzęp człowieka roześmiał się chrapliwie.

– Nazywasz to życiem? Przez ostatnie dwadzieścia godzin żyłem więcej, niż przez trzydzieści lat.

– Nie ja zbudowałam obozy. Nie ja was tam zapędziłam.

– Tyyyyyyy! – zawył zbieg tak nagle, że palec policjantki niebezpiecznie zadrgał na spuście. – Popierasz to, popierasz to całym sercem. Łatwiej o nas zapomnieć, niż spróbować nam pomóc. Jak zwierzęta wepchnięci do klatek, żebyśmy zdechli byle jak najdalej od was. A jaka w tym nasza wina?

– A jaka nasza? – wybuchnęła Jane. – Czym ja zawiniłam?

– Więc zasługujemy na to? – Spojrzenie bezwzszczępieńca spoczęło znów na twarzy kobiety. – Trzeba nas zakatować, bo jesteśmy inni? To wszystko nasza wina?

Jane bez słowa weszła do śmigłowca, który właśnie stanął na lądowisku wieżowca. Patrzyła z kamienną twarzą, jak pakują ciała Garry’ego, Tory, Francisca i Mafta do czarnych worków. Strzępy łowców niewolników bezpardonowo zbierano na jedno miejsce i palono. Czarny słup dymu unosił się pionowo do góry, oznaczając miejsce masakry.

– Co się tam stało? – Hank siedzący naprzeciwko spojrzął na nią badawczo. – Gdzie on jest?

Kobieta westchnęła ciężko i spojrzała na wschodzące słońce.

– Gdy do niego strzeliłam, odskoczył i spadł z balkonu. Jutro pojedę pobrać próbki do raportu.

– Rozumiem... – mruknął podejrzliwie przełożony.

Helikopter poderwał się w powietrze i odleciał jak bajkowa ważka. Wkrótce zmienił się w mały punkcik na nieboskłonie. Pierwsze promyki słońca zatańczyły na oknach wież. Kolejny dzień budził się do życia. ♦

Adrian Kazanowski

Witamy na parterze



Adrian Kazanowski – uczeń drugiej klasy o profilu matematyczno-fizyczno-informatycznym w II LO w Gdańsku. Wierny czytelnik książek Tolkiena, Sapkowskiego, Kossakowskiej, Ćwieka i Kozak. Miłośnik poezji Grochowiaka, Żegadłowicza i Szymborskiej, oraz dramatów Mrożka i Witkiewicza. Głęboko przekonany, że Słowacki wielkim poetą był, zafascynowany tematyką życia pośmiertnego (ulubiona pozycja z kanonu lektur szkolnych to „Dziady”).

Listopad, gdzieś na trasie pomiędzy Toruniem a Bydgoszczą

W Toruniu byliśmy z dziećmi u rodziców Mai. Mimo że minęły już trzy miesiące od jej śmierci, dalej nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Była moją żoną 6 lat, 2 miesiące i 14 dni. Kochałem ją jak nikogo przedtem. Trudno jest mi o niej zapomnieć, zwłaszcza gdy Gosia pyta mnie co tydzień: „Czy mamusia jest w niebie?”.

Z chwilowego otumanienia budzi mnie zderzenie ze srebrnym renault, które jechało z naprzeciwka. Jakim cudem ten baran wjechał na moją część jezdni? A nie, przepraszam: jakim cudem nie zauważyłem, że wjechałem na jego pas? Z resztą nieważne. Co z dziećmi? Odwracam się. Z Jankiem wszystko dobrze, tylko się trochę trzęsie i ciężko dyszy. Gosia ryczy, ale oboje są cali i zdrowi. Staram się ich uspokoić, sam też próbuję zachować spokój. Patrzą, co się stało z samochodem. Zderzenie obróciło mojego golfa o 90 stopni. Jak dobrze pójdzie, to będę musiał wstawić tylko nowe przednie prawe drzwi, może też zderzak i reflektor. Za chwilę z renault wyjdzie kierowca i pewnie będzie wrzeszczał, ale nic wielkiego się nie stanie. Spiszemy oświadczenie i po sprawie. Zawiozę dzieci do moich rodziców, a sam pojedę do mechanika. Spokojnie, mówię do siebie, uspokój się, stary...

Staram się opanować. Patrzą przez przednią szybę. Obrót spowodował, że znajduję się na wprost dużego klonu. Drzewo nie ma już większości liści, wygląda tak, jak drzewa w listopadzie. Wyłączam radio, bo dopiero teraz dostrzegłem, że wciąż było włączone. Odtwarzali akurat *Knockin' on Heaven's*

Door w wykonaniu Guns N' Roses. Jeszcze raz patrzę na wgniezione drzwi samochodu i, mimo że w samochodzie są dzieci, z ust wyrывa mi się krótkie „kurwa”.

Gdy tak rozmyślam, słyszę pisk opon spowodowany gwałtownym hamowaniem. Odwracam się w kierunku tylnej szyby i dostrzegam, że mknie ku nam czerwony tir. Uderza z dużą prędkością. Najpierw trafia we mnie, dopiero potem w renault. Odwracam się do przodu. Klon przed moimi oczami staje się coraz większy, aż widzę go wgniatającego się w maskę mojego golfa. Jedna gałąź rozbija przednią szybę. Odłamki szkła lecą prosto na mnie, więc zamykam szybko oczy i zasłaniam się ręką. Nagle czuję, że lewa noga boli mnie niemiłosiernie i czuję ciepły strumień krwi sączący się po stopie.

Klon, który wbił się w maskę, spowodował, że coś spadło mi na nogi i je zmiażdżyło. Staram się powstrzymać krzyk, ale mi się nie udaje. Wrzeszczę, a potem wycieńczony padam na oparcie siedzenia. Zaraz... Co z dziećmi?!

Patrzę na tylną kanapę i w tym momencie ponownie zaczynam wrzeszczeć. Dzieci wiszą na pasach bezpieczeństwa nieprzytomne, z odłamkami tylnej szyby powbijanymi w tył głowy. Czuję, że ze zmiażdżonej nogi wypływa coraz więcej krwi, ale nie to jest teraz najważniejsze. Trzeba pomóc dzieciom! Wyjmuję z kieszeni kurtki komórkę i wybieram numer 999. Czeka, aż ktoś podniesie słuchawkę, ale nikt nie odbiera. Słyszę tylko spokojną muzykę i suchy, szorstki głos maszyny: „Nie rozłączaj się. Twoje zgłoszenie jest dla nas bardzo ważne”. Szybciej, odbierajcie! Trzeba ratować dzieci!!!

Staram się nie myśleć o bólu. Patrzę, co stało się z samochodem, który dostałem od Mai w prezencie na 30. urodziny. Nic z nim już chyba nie zrobię. Cała maska i prawy bok są wgniezione tak, że nie da się nic zrobić. Po uderzeniu z klonem otworzyły się drzwi kierowcy, przez co owiewa mnie chłodne, listopadowe powietrze.

Dalej nikt nie odbiera, ale nie rozłączam się. Noga strasznie boli. Zamykam oczy i zaciskam zęby, czekając, aż ktoś wreszcie podniesie słuchawkę.

Z telefonem przy uchu padam na oparcie fotela. Przed oczami robi mi się ciemno.

Po jakiejś chwili odzyskuję świadomość i słyszę w słuchawce ciepły, kobiecy głos:

- Pogotowie. Proszę o podanie zgłoszenia.
- Miałem wypadek, gdzieś koło Bydgoszczy... Moje dzieci...
- Halo? Jest tam ktoś? – przerywa mi, jakby mnie nie słyszała.
- Moje dzieci są nieprzytomne! – Niemal krzyczę. – Proszę mi pomóc!
- Kolejny dzisiaj głuchy telefon? Skończcie z tym, dzieciaki... – mówi obrażona.

Mam ochotę się rozłączyć, ale telefon wypada mi z ręki. Poddaję się, pójde sam poszukać pomocy... Głupia baba. Nie słyszała mnie?

Wsiadam przez otwarte drzwi i rozglądam się w poszukiwaniu pomocy. Widzę tylko wielki korek, ale nikt nie kwapi się wysiąść ze swojego auta i mi pomóc. Odwracam się do samochodu. Przez tylną szybę widzę głowę Gosi z powbijanymi odłamkami szkła... Boże, czemu nikt nie reaguje?! Staram się opanować, siadam na pobliskim kamieniu i zakrywam oczy dłońmi. Niech ten koszmar się już skończy...

Po pięciu minutach słyszę nadjeżdżającą karetkę... Wreszcie! Wstaję z kamienia i idę w kierunku ratowników wysiadających z erki.

Pierwsza do mojego golfa podchodzi niska brunetka, która przez moment patrzy na mnie i lekko się uśmiecha. Co w tym zabawnego, że miałem wypadek? Pytam ją, co z dziećmi, ale nie odpowiada. Woła sanitariuszy z noszami, a sama wraca do kierowcy erki. Słyszę jak mówi, że są trzy ofiary. Czyżby ten gość z renault też potrzebował pomocy? Nie, stoi przy swoim aucie i stara się zatamować krwawienie z nosa. Może w takim razie coś się stało temu kierowcy tira?

W tym momencie sanitariusze podchodzą do drzwi od strony kierowcy. Czemu? Nie mogą otworzyć drzwi od strony dzieci? Możliwe, że włączyłem blokadę, by Janek nie otwierał drzwi podczas jazdy. Chcę podejść do nich i pomóc, ale w tej chwili słyszę rozmowę kierowcy erki z brunetką:

- Ten martwy facet z przodu zdażył przed śmiercią zadzwonić na pogotowie, ale nic nie powiedział dyspozytorce. Pewnie już zmarł. Biedak, paskudnie zmiażdżona noga, musiał nieźle cierpieć... Ale dzięki temu, że zadzwonił, udało nam się namierzyć jego komórkę i szybko przyjechać.

O jakim faciecie on mówi? Po chwili staje się to jasne...

Z mojego golfa właśnie wyciągają mężczyznę w skórzanej kurtce, całego w krwi i z nogami połamanymi w ten sposób, że zwisają nienaturalnie i wyglądają, jakby każda miała dwa kolana... Dziwny niepokój każe mi spojrzeć w twarz poszkodowanego, choć spodziewam się, co zobaczę. Podchodzę bliżej i patrzę przez ramię sanitariusza. Na noszach leży gość wyglądający jak ja...

- Jezus Maryja! Czy tak wygląda śmierć? I co? Będę się teraz wałęsał po świecie i nikt mnie nie będzie widział ani słyszał? A gdzie ci cali aniołowie? Piekło? Czyściec? A może ciebie, Boże, w ogóle nie ma?!

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że wrzeszczę na całe gardło, a i tak nikt mnie nie słyszy. Sanitariusze spokojnie pakują moje ciało do czarnego worka na zworki. Gdy reszta ratowników sprawdza stan dzieci, brunetka idzie w moim kierunku, jak gdyby mnie widziała. Czy to w ogóle możliwe?

Blondyn ją woła, pyta, co robi i czy może jej pomóc. Brunetka krzyczy: „Chwila!” i pstryka palcami. Świat staje w miejscu. Sanitariusze zatrzymują się w swoich pozycjach, tylko ona i ja możemy się ruszyć. Odzywa się do mnie spokojnym głosem:

- Teraz wierzysz?

- Słucham? Kim ty jesteś? Co się stało? Co ze mną?

- No w Boga? Anioły? Demony? Wierzysz?

- Kim jesteś? Co im zrobiłaś? - mówię, patrząc na otoczenie. - Czemu się nie ruszają?!

- Spokojnie - mówi prawie szeptem. - Zatrzymałam tylko czas. Za chwilę wszystko wróci do normy. Jestem Viera, Odźwierna.

Rozpina swój fartuch. Gdy otwiera ostatni zatrzask, śnieżnobiały strój samodzielnie zaczyna zsuwać się jej z ramion. Rękawy same zsuwają się z rąk, a potem fartuch zaczyna pokrywać się białymi piórami i przylega do jej pleców. Viera stoi teraz przede mną w skromnej, białej sukience. A zza jej ramion ponad głowę wznoszą się potężne, anielskie skrzydła. Otwiera usta i pyta:

- Możemy iść?

- Tak... Ale dokąd?!

Viera podnosi rękę i zatacza palcem serdecznym małe kółeczko. Z jej ręki wystrzela mała wiązka światła. Tworzy tuż obok mnie okrąg o średnicy dwóch

metrów, który przemienia się wolno w okrągłe drzwi z połączoną klamką. Patrę na portal ze zdumieniem.

– Naciśniesz tę klamkę czy nie? – pyta zniecierpliwiona Viera – Nie mam całego dnia, muszę potem jeszcze paru innych odprowadzić.

Popycha mnie lekko w kierunku drzwi. Podnoszę rękę i wolno otwieram.

Rozglądam się po wielkiej sali, do której wszedłem bezpośrednio po przejściu przez portal. Przed wejściem do środka Viera pstryknęła ponownie palcami i przed zamknięciem się drzwi zauważyłem jeszcze, że sanitariusze zaczynają pomagać dzieciom. Uspokoiło mnie to trochę. Może nic im nie będzie.

Po przejściu przez portal dostrzegam wielką salę o błękitnych ścianach. Z sufitu zwisa plakat z napisem „Witamy na parterze”. Tuż koło niego mały drogowskaz wskazuje drogę do wind. Po sali chodzi mnóstwo aniołów i anielic podobnych do Viery. Zauważam zarówno anioła Murzyna, jak i anioła blondyna czy anioła Azjatę. Nieopodal drzwi stoi duże dębowe biurko, na którym ktoś przyczepił złote litery układające się w napis „Recepcja”. Za biurkiem siedzi anielica podobna do Viery, choć jest od niej wyższa i zamiast białej nosi czarną sukienkę, a obok niej anioł o czarnych oczach i włosach, z krwistoczerwonymi skrzydłami i nagim torsem. Paru podobnych do niego krąży również po sali. Nie wyglądają przyjaźnie.

– Musisz tam podejść i poczekać na swoją kolej. Ja muszę wracać – szepcze do mnie Viera i daje mi buziaka w policzek na pożegnanie. Dotyk jej ust trochę mnie mrozi. Odwraca się w kierunku drzwi i przenika przez nie. A więc zostałem tutaj sam...

Podchodzę do recepcji. Przede mną w kolejce stoi jedna kobieta, w wieku mniej więcej mojego ojca. Gdy ta po chwili odchodzi, brunet z krwistoczerwonymi skrzydłami podaje mi kartkę i mówi, bym uzupełnił informacje. Siadam przy dębowym biurku i biorę od anielicy błękitne pióro. Zaczynam oglądać i uzupełniać arkusz.

Imię i nazwisko: *Dawid Kowal*

Patron z bierzmowania: *św. Jan od Krzyża*

Stan cywilny: *wdowiec, dwoje dzieci*

Data urodzenia: *14.08.1975*

Data śmierci: *13.11.2011*

Zawód: *architek*

Narodowość: *Polak*

– Proszę teraz poczekać przed salą sądową na wywołanie – mówi do mnie anielica, uroczy się przy tym uśmiechając. – Sędzia oceni, czy zasłużył pan na niebo, czy na piekło.

Gdy wspomina o piekło, brunet spogląda na mnie złowrogo. Już rozumiem, kim jest. Upadły. Udaję, że nie zauważyłem tego spojrzenia, i idę w kierunku wskazanym przez anielicę. Po drodze zatrzymuję się, gdy zauważam na ścianie połączone ze sobą trzy tablice.

Niebo:

I piętro – Niebo Właściwe – dzielnica zamieszкана przez dusze; centrum handlowe

II piętro – stajnie; szpital anielski; sąd; bank; koszary; policja

III piętro – mieszkania archaniołów; szkoła anielska; zbrojownia; sejm

IV piętro – mieszkania kandydatów na aniołów; restauracje; pub; poczta; siłownia

V piętro – żłobek, stadion; ambasada piekielna; warsztat samochodowy

VI piętro – cmentarz anielski; biuro Generała; więzienie; sąd apelacyjny

VII piętro – sala królestwa; Złoty Tron; centrum dowodzenia; skarbiec relikwii; Eden

Parter:

Sale Sądu Ostatecznego; windy; hotel; parking; poczekalnia; biblioteka; sala wizyt; recepcja; szatnia

Piekło:

I piętro – Dział samobójców; stajnia

II piętro – Działy: gangsterów, morderców, nazistów, pedofilów

III piętro – mieszkania Upadłych; koszary; lazaret; łaźnie

IV piętro – prywatne cele; kopalnia; ambasada niebios; cmentarz

V piętro – Dział satanistów; sąd apelacyjny; motocykle; żłobek; dom publiczny

VI piętro – biura: Lucyfera, Asmodeusza, Mefistofelesa

VII piętro – zbrojownia; sala tortur

– Dawid Kowal proszony na salę rozpraw numer 12 – komunikują przestarzałe głośniki przyłączone do śnieżnobiałego sufitu.

A więc idę, nie ma już odwrotu. Zmierzam w kierunku sali sądowej. Jej drzwi otwierają się przede mną zanim dotykam klamki. W środku za wielkim biurkiem siedzą trzej aniołowie: blondyn, upadły i Arab. Przed ich biurkiem stoi niższe, za którym jest wolne miejsce dla mnie, a na krześle obok siedzi niski facet w szacie zakonnika. Siadam i czekam aż ktoś zacznie.

Arab wstaje i zaczyna mówić głosem ciepłym i serdecznym:

– Otwieram posiedzenie sądowe w sprawie Dawida Kowala. Sędzia przewodniczący: Jezus z Nazaretu – tu wskazuje ręką na siebie, sędziowie pomocniczy: Nataniel – pokazuje na blondyna – i Aswersus, przedstawiciel Piekła. obrońca: święty Jan od Krzyża – zwraca się do faceta siedzącego koło mnie.

W życiu bym nie pomyślał, że Jezus wygląda jak Arab. Długie, ciemne włosy opadają mu na ramiona, na jego twarzy dostrzegam trzydniowy zarost. Jest szczupły, ale pod jedwabną koszulą dostrzegam mięśnie. Wygląda bardzo sympatycznie. Tylko skąd ma skrzydła? Ach, rozumiem, pewnie otrzymał je w chwili wniebowstąpienia.

W życiu też nie myślałem, że poznam swojego patrona. Nigdy się do mnie nie odezwał. Staram się przypomnieć sobie jakiś jego portret, lecz mi się nie

udaje. Dostrzegam jednak, że zarówno Jezus, jak i Jan mają stygmaty na rękach. Moje rozmyślenia przerywa głos Jezusa:

– Zasadniczo nie mam żadnych zastrzeżeń do twojego zachowania na Ziemi, synu. Twoje kłamstwa, bluźnierstwa i drobne oszustwa puszczam w niepamięć. Zgłaszam propozycję wysłania Dawida Kowala do nieba. Ktoś przeciwko?

Nikt się nie zgłasza, wszyscy milczą. Aswersus patrzy tylko na mnie zimnym wzrokiem. Jak chyba każdy upadły ma przerażające czarne oczy i skrzydła w kolorze krwi. Chcę coś jeszcze powiedzieć, ale Jezus mnie uprzedza:

– Synu, Nataniel odprowadzi cię do nowego mieszkania. Jeśli masz jakieś pytania do mnie, to zadaj je teraz, bo nie wiem, kiedy się znów zobaczymy.

– Co z moimi dziećmi?

– Twoja żona się nimi opiekuje. Niestety, umarły w drodze do szpitala. Jako dzieci zostały od razu zbawione i odesłane do matki, na pierwsze piętro, do waszego nowego domu. Musisz już iść do nich – mówi Jezus i kiwa sugestywnie na Nataniela i Jana.

Obaj wstają i podają mi ręce, pomagając mi wstać. Spoglądam jeszcze raz na Jezusa. Uśmiecha się do mnie i wzywa kolejnego umarłego przez mikrofon. Potem mówi do mnie jeszcze tylko:

– Nie martw się, kiedyś cię odwiedzę. A teraz idź do żony.

Nataniel, Jan i ja podchodzimy do windy. W oczekiwaniu na jej przyjazd wreszcie znajduję w sobie odwagę, by powiedzieć coś do mojego patrona.

– Czemu nie masz skrzydeł? Jesteś przecież świętym.

– Tak, ale jestem tu dopiero kandydatem na anioła. Jeszcze długa droga przede mną, zanim otrzymam od Ojca skrzydła.

Jego głos jest przyjemny, więc pozwalam sobie zapytać go o coś jeszcze.

– Czemu nigdy się do mnie nie odezwałeś, gdy byłem na Ziemi?

Po chwili milczenia, odzywa się w końcu suchym i twardym głosem nauczyciela:

– Ojciec chce, byście mieli wolną wolę, nie możemy zbyt często interweniować w sprawy ludzi. Wytlumaczę Ci kiedyś wszystkie prawa rządzące tym światem, ale chyba śpieszysz się do żony? Ja też w tej chwili nie bardzo mam czas na pogawędki, mamy tu wiele swoich problemów, niebo to też życie, a nie bajka... Tak samo, jak na Ziemi mamy tu mnóstwo problemów. Postaram się kiedyś Ci to wytłumaczyć. Ale nie dziś, za dużo masz już wrażeń. Mamy na rozmowy całą wieczność, będę wpadał codziennie. Wieczność to za długo, zdążysz się mną zmęczyć.

W tym momencie winda przyjeżdża. Nataniel wchodzi do środka i czeka na mnie. Jan na do widzenia mówi jeszcze:

– Zapamiętaj dobrze ten dzień. Od niego zależy twoje dalsze życie. Nie będzie tu łatwo, na Ziemi też nie było. Ojciec trochę skomplikował ci życie, wysyłając cię do nieba. Ale nie myśl o tym, idź do żony. Chyba wciąż za nią tęsknisz, bracie?

– Tak... Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wiem, obserwowałem cię cały czas. Do widzenia, bracie.

– Do jutra, bracie... ♦

Joanna Mielcarska

Grajek

Joanna Mielcarska – przygodę z pisaniem zaczęła w wieku sześciu lat od poezji, a konkretnie od pięciowersowego wierszyku ofiarowanego mamie na Dzień Matki. Zachęcana przez rodziców rozwijała swoje zdolności. Obecnie pisze wierszem i prozą, jednak traktuje to raczej jako hobby. Jej marzeniem jest studiowanie medycyny lub dietetyki.



Sala była wypełniona aż do ostatniego miejsca, mimo to jedynym słyszalnym dźwiękiem pozostawała łagodna muzyka fletu. Czysta i klarowna to wznosiła się w wysokich tonach, to znów rozsypywała w dół srebrną kaskadą. Nastrojowe oświetlenie pomieszczenia wydobywało z półmroku jedynie fragment sceny, groteskowo mały w porównaniu z licznym audytorium – na środku młody chłopak o przeciętnej urodzie grał na flecie poprzecznym. Ciemne, krótko ścięte włosy sterczały mu na wszystkie strony w mało formalny sposób. Był ubrany w czarny garnitur, mocno kontrastujący z białą cerą, czarny krawat oraz niebieską koszulę, podkreślającą elektryzujący błękit oczu. Nie można było jednak tego dostrzec, ponieważ wzrok miał spuszczone, nieobecny. Stał tak i grał, a publiczność słuchała z zapartym tchem – na niejednej twarzy lśniły łzy.

Gdy wreszcie flet zamilkł, przez moment panowała cisza. Potem zerwała się burza oklasków, która musiała być niczym uderzenie obuchem dla wrażliwego, muzycznego ucha. Grajek skrzywił się, lecz po chwili opanował twarz i opuścił scenę z nieco wymuszonym uśmiechem. Prowadzący wyszedł, aby zapowiedzieć kolejnego uczestnika koncertu, jednak musiał poczekać. Wreszcie aplauz ucichł.

Po jakimś czasie na tyłach filharmonii mignęły światła zaparkowanego volkwagena. Od strony budynku szły dwie postacie. Jedną z nich był student znany jako Robert Korcki, z futerałem fletu przewieszonym przez ramię, drugą zaś – znany kompozytor i wykładowca Akademii Muzycznej, Stanisław Czajka.

– ...i dlatego uważam, że powinieneś wyjechać. Marnujesz się tutaj, chłopcze! Twój dzisiejszy występ był fenomenalny.

– Dziękuję, panie profesorze.

– A znajomi muzycy już zazdroszczą takiego talentu pod moimi skrzydłami. Mówią, że masz w sobie ogień, chłopcze. Twoja muzyka porywa. Aż trudno uwierzyć, że nie studiowałeś dotychczas niczego związanego z muzyką.

– Nie, panie profesorze. Miałem prywatnego nauczyciela.

– Wspominałeś o tym. W każdym razie zastanów się nad tym, o czym ci mówiłem. Możesz wiele skorzystać.

– Dobrze. Do widzenia, panie profesorze.

– Do widzenia, Robercie. Pamiętaj o zmianie godzin zajęć w przyszłym tygodniu.

Mężczyzna oddalił się szybkim krokiem, a muzyk otworzył drzwi samochodu. Nie wsiadł jednak, powędrował wzrokiem w stronę budynku. Na parking weszła jeszcze jedna osoba, skryta dotąd w cieniu. Od tła nocnego szumu miasta ostro odcinało się stukanie obcasów o beton. Robert zlustrował nieznaną od niebotycznych szpilek poprzez czerwona, wydekoltowaną sukienkę sięgającą do połowy uda (zdecydowanie nieodpowiednią na koncert w filharmonii), aż po uwydatnione szminką usta i starannie ułożone włosy. Kobieta mogła mieć około dwudziestu lat.

– Dobry wieczór – zagadnęła.

Miała niezbyt przyjemny, nosowy głos.

– O co chodzi? – spytał, lekko poirytowany.

Starannie podkreślona uroda dziewczyny najwyraźniej nie robiła na nim wrażenia, chociaż nieco dłużej zatrzymał się wzrokiem na odsłoniętym dekolcie.

– Nazywam się Anna Centarko. – Wyciągnęła do niego dłoń, którą uściśnął bez przekonania. – Poznał pan ostatnio mojego ojca, współwłaściciela wytwórni płytowej...

Rzeczywiście, przypominał sobie nieprzyjemnego typu o aparycji wyszorowanego prosiaka w drogim garniturze. A co mi tam, pomyślał. I tak przecież nie zamierzałem robić z nim żadnych idiotycznych interesów. Roześmiał się w duchu.

– Czy podobał się pani dzisiejszy występ? – spytał, niespodziewanie posyłając w jej stronę olśniewający uśmiech.

– Och, to było coś niesamowitego... Nie potrafię tego opisać...

Z zadowoleniem obserwował zmianę na twarzy Anny. Oczy zaślniły, a policzki delikatnie się zarumieniły, kiedy mówiła o jego muzyce.

– Po prostu... Mogłabym słuchać pana całymi godzinami.

– Dajmy spokój z tym panem. Jestem Robert. Wiesz, jeśli chcesz... Mogę zagrać coś specjalnie dla ciebie. – Zbliżył się do niej, prawie szepcząc. – Chciałabyś spędzić ze mną wieczór?

Wahała się krótko, już po chwili jechali pustymi ulicami, mijając kolejne skrzyżowania. To było wyjątkowo nierozsądne z jej strony, pomyślał. Wiedział jednak, że mimo niedoskonałego wyglądu podoba się kobietom. A może podobała się jego muzyka. W każdym razie dziewczyna albo była niesamowicie głupia, albo sama już wcześniej zamierzała zaciągnąć go do łóżka, planując jednak, że zajmie to trochę więcej czasu. Straciła nieco rezon, gdy wjechali do biedniejszej dzielnicy miasta. Robert zauważył, że dyskretnie poprawiła sukienkę, jeszcze bardziej eksponując piersi.

– Mieszkaś gdzieś tutaj?

– Tak. Czynsz jest tani.

Mógł niemal słyszeć jej myśli, wypchane historiami z kolorowych magazynów niczym trocinami. On sam dobrze pasował do portretu artysty outsidera. Biedna dziewczyna z pewnością oczekiwała przygody rodem z amerykańskich filmów.

– Powiedz, jak to robisz? – Przerwała chwilę ciszy, wyrrywając go z zamyślenia.

– Co?

– Mówię o twojej muzyce. Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego.

– To nie moja zasługa. – Wzruszył ramionami. – Ja po prostu nauczyłem się nut i dźwięków. Takiego... muzycznego alfabetu. Reszta przyszła sama. Już od dziecka miałem dobry słuch muzyczny.

– Musisz mieć jakiegoś asa w rękawie. – Roześmiała się. – Jaka jest tajemnica twojego kunsztu?

Co jest, tatuś kazał jej mnie wybadać? – pomyślał. Co za idiotka. Jej gierka jest łatwa do przejrzenia jak dziecięcy rebus.

– To proste – odpowiedział. – Jediną rzeczą, jaką w życiu prawdziwie kocham, jest muzyka.

Samochód stanął.

– Jediną? – Mrugnęła do niego, przesuwając ręką po swoim udzie. – To pewnie musisz się czuć samotny.

– Skądże – odparł rozbawiony, kurtuazyjnie otwierając przed nią drzwi – mam wielu przyjaciół, którzy dzielą ze mną pasję.

Weszli do obskurnej klatki schodowej. Jediną działająca żarówka chwiała się lekko, budząc na ścianach niepokojące cienie. Poprowadził dziewczynę po schodach na piętro i przekreślił klucz w drzwiach mieszkania. Lekkim gestem zachęcił ją, by poszła przodem. Krzyknęła z zaskoczenia i odrazy, chciała się cofnąć, ale wepchnął ją do środka, przewracając na podłogę.

W ciemnym wnętrzu lśniły czerwono setki ślepi. Zapalił światło. Dookoła nich kłębiły się roje szczurów. Tych olbrzymich, szarych, żyjących w ściekach, białych z laboratoriów, łącących ze sklepów zoologicznych... Wszystkie na jego widok stanęły słupka i zamarły w oczekiwaniu. Anna podniosła się już i w szoku przygłnęła plecami do ściany, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

Chłopak powoli wyjął z futerału flet – nie był rozłożony na części, lecz cały czas gotowy do użycia – i zagrał kilka krótkich, ostrych dźwięków. Odpowiedział mu przeraźliwy krzyk, lecz szybko ucichł, kiedy delikatna szyja została zmieniona w ochłap mięsa. W dzielnicy biedy nikt już nie reagował na takie odgłosy. Grajek odwrócił się, nie patrząc na drgające w konwulsjach ciało. Niewiele zresztą było widać pod ruchliwą masą szczurów. Przeszedł do drugiego pomieszczenia, które, podobnie jak pierwsze, było bardzo skromnie umeblowane. Stał tutaj jedynie stół, dwa krzesła i gazowa kuchenka. Żadnej szafki ani nawet lodówki. Z gołych ścian płatami opadał tynk.

Robert usiadł i przycisnął ustnik do warg. Dopiero wtedy jego obojętna twarz się ożywiła. Grał dziką, tęskną melodię i wydawał się być obecny duchem jedynie w świecie dźwięków. Do jego stóp powoli schodziły się szczury – siadały na tylnych łapkach, czyszcząc pyszczki z krwi. Wlepiąły w niego paciorkowate ślepie, a on grał tak długo, póki flet nie wypadł mu ze zdrtwiałych palców. Rozejrzał się wtedy, niczym obudzony nagle z głębokiego snu. Podrapał wypukły grzbiet siedzącej mu na ramieniu ulubienicy.

– I jak, niewdzięczne, hałaśliwe stworki? – przemówił czule, a wszystkie zwierzęta poruszyły się na dźwięk jego głosu. – Najadłyście się? To jest to, co lubicie najbardziej, prawda?

Zajrzał do pokoju obok. Na podłodze, poznaczonej plamami po wylizanej dokładnie krwi, leżały obgryziony niemal do czysta szkielet i strzępy czerwonej sukienki. Oraz prawie nietknięte szpilki. Robert pokręcił z dezaprobatą głową, trącając kości butem i oceniając stan drewnianych klepek, na których można było dostrzec starsze, blaknące już rdzawe plamy.

– I co ja mam z tym zrobić? – rzucił w przestrzeń, wzruszając ramionami. Przypadkowo zrzucił przy tym na plecy ulubioną szcurzycę, która wspięła się z powrotem, wbijając mu pazurki w koszulę. – Masz jakiś pomysł?

Westchnął i otworzył szufladę jedynej w mieszkaniu komody. Przez chwilę przerzucał stopy dokumentów. Na każdym z nich widniało inne nazwisko, ale z każdego spoglądały te same niebieskie oczy. Na wielu papierach widniały takie kraje, jak Rosja czy Ukraina.

– Przez nią znowu musimy się wynosić – powiedział, wybierając jeden z paszportów. – Nie rozumiem, dlaczego nie możecie być równie inteligentne, dajmy na to, jedząc kurczaki. Kurczaki byłyby dużo łatwiejsze do zdobycia. Poza tym czystsze. No i legalne.

Zaczął przerzucać do turystycznego plecaka nieliczne ubrania, wciąż gadając do zaaferyowanych jego czynnościami zwierzątek.

– A już przecież było całkiem dobrze. – Zamyślił się. – Ten stary profesor, jak mu tam... Czajka. Prawie słyszy. Nie tak, jak reszta tych głuchych ignorantów.

Nagle wszystkie szcury zwróciły łebki w stronę drzwi. Robert też już wiedział – znał te ciche, kocie kroki. Każdy detektyw w każdym cholernym mieście chodził tak samo. Policję można było wodzić za nos niczym głupiego szczeniaka, ale ci niepozorni ludzie zawsze nieśli ze sobą kłopoty.

Grajek zarzucił sobie plecak na ramię, podniósł flet do ust. Usłyszał pukanie do drzwi i uśmiechnął się. Przypomniała mu się stara, marynarska przyśpiewka. Zaczął nucić:

– *Biada nam, bo statek już tonąć zaczyna; tylko szcury uratują się...* ♦

Jan Rybicki

Prawo, by być prawdziwym



Jan Rybicki. Autor licznych (czterech) opowiadań i dziesiątek monumentalnych epei w fazie larwalnej (nieprzekraczających jednej strony). Zago-rzały fan C.S. Lewisa oraz S. Collins. Wymyślanie własnych postaci i historii zawsze go fascynowało, jednak dopiero niedawno udało mu się zapisać którykolwiek z pomysłów. Poza pisaniem niezmiennie obiektem jego pasji pozostaje gra w RPG. Z przyjemnością słucha Kilara i Góreckiego.

Gwałtowne szarpnięcie jest niemal bolesne, a światło pochodni, dosyć nikłe, jest jak uderzenie obuchem. Świat staje się dla niego jeszcze mniej wyraźny niż wcześniej, kiedy widział uszami i dotykiem. Tylko rozmazane kształty, dwie ludzkie sylwetki, jakieś pomieszczenie, przedmioty poustawiane przy ścianach. Ktoś coś mówi, ale dociera do niego tylko pogłos odbijający się między ścianami.

Czuje, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu, zdecydowanie, ale nie brutalnie. Na razie. Zmusza go, żeby usiadł pod ścianą na czymś wilgotnym, ale zdecydowanie nie na kamieniu – bardziej miękkim, uginającym się. Ów człowiek potrząsa nim, zniecierpliwiony, ale Joesein nie wie, o co mu chodzi. Nadmiar bodźców jest tak bardzo natarczywy, że aż bolesny. Po długiej izolacji Joesein znów widzi, słyszy, a dźwięki docierają do niego nachalnie, nietłumione przez grubą warstwę płótna. Czuje na twarzy podmuch wywołwany gwałtownymi ruchami mężczyzn.

Dopiero kiedy po raz kolejny natrętna postać powtarza swoje pytanie, Joesein zaczyna wreszcie rozumieć, co się z nim dzieje i gdzie się znajduje.

Schwytali go w zamku, może jakiś kwadrans temu, a może kilka godzin. Zarzucili mu worek na głowę, związali ręce i poprowadzili go gdzieś, w długą wędrówkę pełną schodów, stopni, niezrozumiałych dźwięków i nieustannej ciemności.

Mimo to domyślał się, dokąd go prowadzili. Spodziewał się tego od wczoraj, kiedy to wszystko się wydarzyło. Nie mógł zostać w domu, bo to przykułoby uwagę Żółtych. Nie mógł tak po prostu opuścić kilku dni pracy, to byłoby podejrzane, niezawodnie. Nie miał jednak dokąd uciekać, ani gdzie się schować. Zrobił zatem wszystko tak samo, jak co dzień. Wystawił mleko dla Skręćwierków ubrał się w swój najgrubszy – jedyny – płaszcz i wyszedł na zewnątrz, w mgłę. Był koszmarnie naiwny, jeśli spojrzeć na to z właściwej strony. Teraz chciało mu się prawie śmiać z własnej głupoty. Bał się, że przyjdą do niego, kiedy będzie w domu, wyważą drzwi, a on nie będzie miał

szans, by uciec. Nie przed Złotymi. Nie przyszli. *Być może obroniły mnie Skręćwierki, kto wie?* Przeszedł spokojnie przez Miasto. *Może i to jest ich zasługą?* Były wszędzie, czasem złośliwe i mściwe, a czasem skore do pomocy. Joesein zawdzięczał im naprawdę sporo, i z wzajemnością. Liczył na ich poczucie obowiązku. Dlaczego nie miałyby mu pomagać i tym razem? *Co będzie, to będzie, jak zawsze, ale skoro jestem tutaj, to znaczy, że odpuścił.* Tak myślał jeszcze kilka godzin temu, coraz bardziej spokojny.

Trzeba było uciekać, nie iść do zamku, zrobić cokolwiek. A nie liczyć na szczęście i zasrane Skręćwierki, nieszczęsny głupcze.

Najpierw dywany pod stopami, gwar, rozmowy, śmiechy, ktoś go szturcha – wyższy zamek, ale tylko przez chwilę. Zatrzymują się na moment, trzask drzwi, znowu schody, drewniane, wąskie i strome. Potyka się kilka razy, ale zawsze udaje im się go podtrzymać. Znowu trzask drzwi. Później kamienna posadzka, przekleństwa – wszyscy-tno milknie, kiedy przechodzą obok nich. Zapachy tak silne, że wyczuwalne nawet dla niego. Kuchnia? Nie kryją się z tym, że mają kolejnego. Po co? Czemu mieliby go ukrywać? Nawet jeśli kogokolwiek to obejdzie, nikt nie będzie dopytywał o to, co się z nim stało.

A potem w dół, ciągle w dół, po wilgotnych, śliskich stopniach. Coraz zimniej, tak, że zaczynają przenikać go dreszcze. Powietrze staje się ciężkie, ale nie od zapachów i gorąca, jak wyżej. Zatechłe, stare.

Rozmawiają ze sobą, strażnicy, ale on nie rozróżnia słów. Nie wie nawet, kim są. *Złoci Najwyższego Lorda? Może jakieś zwykłe zbiry ser Osmunda? Bez znaczenia.*

Potem po płaskim, ale ciągle pochyłość. Im głębiej, tym większy obejmuje go strach. Czemu tak głęboko? Pod zamkiem, pod więzieniem, pod wszystkimi użytowanymi salami? Kilka razy coś zachrząściło pod stopami rozkruszone jego ciężarem. Korytarze coraz węższe i ciaśniejsze, ale ciągle dalej. Nie chce wiedzieć, co znajduje się na końcu drogi.

Cios nie jest silny, ale ostatecznie przywraca go do przytomności.

– Czy mówiłeś komukolwiek o tym, co widziałeś w komnatach lorda Osmunda?

– Nie wiem, o czym mówisz – charczy.

– Wiesz. Powiedziałeś komuś o tym, co widziałeś w komnatach lorda Osmunda?

Wiedział, o co pytają. To wspomnienie ciągle wzbudzało w nim obrzydzenie. Robił to, co zawsze – rozpałał ogień w kominkach, zabierał brudne ubrania, jak co dzień, pod nieobecność wielkich lordów w wielkich komnatach. Jedną z ostatnich były pokoje lorda Osmunda. Nie sprzątnął ich ostatecznie i pewnie nie będzie miał już okazji. Kiedy wszedł, pierwszą osobą, którą zobaczył, był ser Osmund, odwrócony do niego plecami i całkowicie nagi. Drugą – inny mężczyzna, którego tamten brał od tyłu, tak samo, jak robią to psy. Joesein chciał wyjść i zapomnieć o wszystkim. Cofnął się o krok, bezgłośnie. Mimo to zauważyli go. Ser Osmund tylko na chwilę odwrócił głowę, posłał mu przelotne spojrzenie i zaraz potem wrócił do przerwanej rytuału. Tego jednak było aż nadto. Joesein nie spodziewał się, że wyjdzie z zamku żywy.

– Czy powiedziałeś o tym komuś?

Coraz bardziej natarczywie.

– Nie.

Cios ręki okrytej skórzaną rękawicą obala go na ziemię.

– Mówiłem, żeby nie zostawiać tu ostatniego ciała. Szczękowrzaski nie porzucają łatwego miejsca żerowania. Skończmy z nim i wracajmy.

Złoci są wyraźnie zaniepokojeni. Odsuwają się od Joeseina, jeden z nich kładzie dłoń na rękojeści miecza, drugi sięga po swoją kuszę, naładowaną i gotową do strzału.

Joesein chce, żeby to zrobili. Niech go zostawia tutaj i uciekają w ciemnościach. Chce, żeby potwory dopadły ich z wrzaskiem i rozszarpały na kawałki. Pragnie ich śmierci. Chce, by cierpieli, tak samo jak on. Może nawet mógłby przeżyć... W ciemnościach, w labiryncie zapomnianych korytarzy wszyscy mieliby równe szanse...

– Powiedział wszystko, co wiedział. Nie jest wart naszego życia. Chodźmy! – powtarza jeden ze strażników.

Oczy Joeseina zapalają się niezdrowym blaskiem. W ciemnościach wszyscy byłiby jednakowo martwi. Nie obchodzi go, co z nim będzie dalej. Chce tylko jednego: by teraz to oni poczuli strach, ból i bezradność, tak samo jak on. W ciemnościach wszyscy są zgubieni. Niczego bardziej nie pragnie, niż ich śmierci i cierpienia, za dowolną cenę. Nawet gdyby on sam miał cierpieć i zginąć.

Jeden ze Złotych dostrzega wyraz jego twarzy, trąca drugiego, ale jest już za późno. Może gdyby zorientowali się wcześniej, na co się w gruncie rzeczy zamierza... Gdyby.

Joesein zaciska ręce w pięści i skacze do przodu, nie chce jednak walczyć. Przeskakuje obok Złotego stojącego nieco z tyłu, tego zadającego pytania i trzymającego pochodnię. Kiedy ten instynktownie sięga po miecz i zasłania twarz łokciem, Joesein wyrwa mu z zaciśniętej dłoni jedyne źródło światła i biegnie przed siebie, dzięki samemu zaskoczeniu pozostawiając ich kilka metrów za sobą. Wpada w korytarz i skręca w pierwszą lepszą odnogę, ślizgając się na podłodze od dawna nie przemierzanych przez nikogo tuneli. Uśmiecha się mściwie, słysząc odgłosy pogoni.

Sądzi, że udałoby mu się dotrzeć na powierzchnię, być może nawet zgubić Złotych. Wątpliwe, ale może... Jeśli nie chcieli zaryzykować śmierci w tunelach dla jakiegoś pechowca... może dałby radę ująć z życiem, ukryć się gdzieś i przeżyć, przynajmniej przez jakiś czas. Ale Joesein nie zamierza nawet próbować. Chce żyć, ale jeszcze bardziej chce śmierci Złotych, nienawidzi ich teraz całym sobą. Dlatego biegnie w dół, ku wrzeszczącym potworom, mrocznym sekretom, które nie powinny nigdy zostać ukryte, ku sercu ciemności. A oni podążają za nim.

Wie, że stanowi doskonały cel. Nawet lawirując w korytarzach, jest doskonale widoczny, jeśli nie on sam, to roztańczona przez pochodnię poświata. Wie, że go doganiają. Nie mają wyboru, nie powinni pozwolić mu uciec po tym, co mu zrobili. Przynajmniej dopóki wiedzą, dokąd bieć. Ale Joesein nie zamierza dawać im żadnej szansy.

Chwyta pochodnię tuż przy samym końcu, poniżej zaznaczonego wilgotnym śladem potu uchwyty. Cofa ramię, mimowolnie zwalniając.

Płonąca żagiew leci długim łukiem przez korytarz, znacząc swój ślad ognistym ogonem komety. Smoła syczy, stykając się z wodą znajdującą się w zagłębieniu korytarza.

Przebiegając obok, Joesein dławi butem konające jęczory ognia. Chce mieć pewność.

otwierające się rany. Pamięta ciągle ciosy zadane przez Złoty. Długotrwała ucieczka wysłała z niego resztkę sił.

Jeszcze jeden krok do przodu... jeszcze tylko jeden, a potem odpocznę... Jeszcze ostatni, ale zaraz odpocznę. Już tylko dla zasady...

Mimo to stawia kolejne kroki. Cokolwiek powiedział wcześniej i cokolwiek nim kierowało, Joesein zdaje sobie nagle sprawę z tego, że wcale nie chce umierać. Złoci są mu teraz całkowicie obojętni, nawet ser Osmund. Chce tylko wyjść na światło dzienne.

Posuwa się powoli, krok za krokiem, nie odrywając stóp od ziemi, co chwila spodziewając się uderzenia. Z początku potyka się o własne nogi, ale później udaje mu się już po prostu iść, prawie jak po ścieżce.

Bołą go opuszki palców pozdzierane do krwi. Ciągłe chropowatości i zadziory działają jak tarka. Mimo to wyczuwa zmiany pod palcami. Ściany stają się coraz bardziej suche, mniej oślizgłe. Rozwidlenia trafiają się coraz rzadziej, a może po prostu ich nie dostrzega.

Zmiana materii pod palcami jest dla niego jak błysk, tak kolosalna i kontrastująca ze ścianą, że Joesein zatrzymuje się w miejscu. Delikatnie, ledwo muskając kamień palcami, odnajduje krawędzie narośli.

Jest to płaskorzeźba, a może coś innego. Nie większe niż dwadzieścia cali, gładkie, ślizgają się po tym palce. Płaszczyzna porożyta krawędziami. Z innego rodzaju kamienia, nie tak zimnego i jakby... bardziej miękkiego. Trudno mu samemu to określić. Jak gdyby czerwona plama na czarnym tle.

Joesein rusza dalej, pozostawiając za sobą znalezisko. Nie jest ważne – wcześniej mieszkali tutaj ludzie.

Gównu mi to teraz pomaga.

Dopóki nie natrafia na drugie, takie samo. Kiedy przykłada obie dłonie, ignorując ból poparzeń, i idzie wzdłuż ściany, odkrywa, że płaskorzeźby są rozmieszczone regularnie, według jakiegoś porządku. Stanowią swojego rodzaju szlak, którym chcąc nie chcąc musi podążać.

W ciemności zaczynają się omamy wywołane zmęczeniem i strachem. Joesein widzi kontury postaci przemykające gdzieś przed nim. Niebędące niczym więcej niż cieniem cienia, jaśniejszymi odbiciami, jak gdyby odcisniętymi w mroku. Trudno je określić. Raz przypominają mu mężczyznę z mieczem w dłoni, a innym razem dziecko podbiegające tak blisko, że niemal widzi jego twarz. Kiedy próbuje je złapać, jego dłonie przenikają tylko pustkę. Otaczają go, pojawiając się na skrajach pola widzenia. Zaraz potem znikają, zanim udaje mu się zogniskować wzrok. Nie boi się ich. Są... ciepłe, kasztanowe, przynajmniej tak je odbiera. Dobrze jest nazywać odczucia kolorami, kiedy wszystko jest jednakowo ciemne.

Kolejna zjawia zatrzymuje się przed nim. Joesein widzi ją, tym razem kobietę. Porusza ustami, choć Joesein niczego nie słyszy. Uśmiecha się głupio, nie wiedząc, jak zareagować.

Pochyla się ku niemu, ale jej twarz zmienia wyraz. Nie jest już piękna, staje się przerażająca, potworna, choć Joesein nie wie, na czym polega zmiana. Odskakuje, ale jej rozczapierzone ręce znikają tuż przed jego twarzą.

Znów wraca strach, zastąpiony wcześniej przez spokój. Krążą wokół, białe, śnieżne. Joesein drży, nie tylko ze strachu. Widzi różne rzeczy, przerażające go mimo swojej cykliczności. Złoci, on sam skuty łańcuchami, wynędział do granic możliwości, twarz – przerażająca, pozbawiona wszelkich ludzkich aspektów. Zna ją, choć nie wie skąd. Wolał być ślepy.

Zaczyna biec, trzymając się muru, mijając kolejne znaki. Nie jest w stanie zostawić ich z tyłu. Są wokół niego, nie dotykają go, ale są w zasięgu ręki. Wirują, sprawiając, że traci poczucie własnego jestestwa. Joesein gubi się gdzieś między własnymi wizjami. Jego ciało biegnie, przebijając się przez mleczną, białą mgłę, która wyciąga za nim swoje macki, ciągnąc do tyłu.

Wszystko kończy się tak nagle i szybko, że niemal boleśnie. Uderzenie. Drewniane, przeprochniałe drzwi ustępują pod jego ciężarem, zapadają się do środka, mimo że po prostu w nie wbiegł. Spada ze schodów, a mętne światło oślepia go jeszcze bardziej niż ciemność. Zatęchłe powietrze ustępuje miejsca rzeźkości, wrażeniu chłodu.

Joesein myśli, że znalazł się na zewnątrz, jednak po chwili orientuje się, że trafił do sali - potężnej i tak wysokiej, że nie widzi wyraźnie sklepienia. Sala nie jest pusta i zapomniana. Wręcz przeciwnie - potężna przestrzeń podzielona kolumnami została niemal całkowicie zapełniona najróżniejszymi przedmiotami. Obok Joeseina znajdują się worki z białym piaskiem, gdzieś dalej stoją skrzynie pełne zbroi, ciemnych i pokrytych znajomymi emblematami, dalej widzi dziesiątki hełmów z byczymi rogami i osłonami na twarz w nienaturalnych, upiornych kształtach. Kilkanaście metrów dalej stoi potężna maszyna, ni to dźwig, ni rampa. Wysoko, prawie dwadzieścia stóp ponad nim kończy się ramię, a z niego zwisa wielki, płócienny wzór, lekko fosforyzujący, pokryty jakimś proszkiem, a może to tylko złudzenie...?

Joesein przez chwilę czuje się jak za kulisami jakiegoś mrocznego, monstrualnego, porzuconego teatru. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że nie myli się tak bardzo. Jest za kulisami teatru. Gdzieś tam są nawet płaszcze i broń Złotych, wcale nie tak bardzo reprezentacyjne jak w rzeczywistości, stoją tu potężne mechanizmy przypominające z daleka gigantyczne węże i olbrzymy.

Cofa się o kilka kroków uderzony świadomością tego, co właśnie widzi. Wszystko wskazuje nagle na swoje miejsce. Spalone wioski, potwory, demony pojawiające się codziennie po zmierzchu i dopadające każdego poza miastem. Jak gdyby ktoś... przygotował przedstawienie dla nich wszystkich.

- Po co, do jasnej cholery? - mruczy pod nosem. - To nie ma sensu.

- Nie?

Głos dobiega spod jednego z filarów, a jego właściciel jest ukryty w cieniu. Dopiero po chwili Joesein orientuje się, że postać, którą wziął za grę barw i przypadkowych przedmiotów, jest żyjącym człowiekiem.

Cały sprężył się w sobie i skacze do najbliższego pudła wyładowanego bronią. Wyszarpuje miecz, niedługi, ale wystarczający, by odbić ciosy większej broni. Jak dotąd wszystko, co spotkał pod ziemią, starało się go zabić. Nie ufa niczemu, nawet jeśli wygląda to jak człowiek.

- Kim jesteś? - woła w głąb ciemności, starając się wypatrzyć właściciela głosu.

Tym razem jest przygotowany. Nie da się zastraszyć, zaskoczyć. Uderzy pierwszy.

- Zgadnij.

Wyłania się z ciemności, bliżej niż Joesein mógł podejrzewać. W dłoni trzyma obnażony miecz. Długi i cienki tak bardzo, że wydaje się wręcz kruchy.

Kolejny potwór z labiryntu, upiór. Umknąłem już tyłu - temu też nie dam się pokonać.

Zaciska dłoń na rękojeści i postępuje chwiejnym krokiem naprzód. Jest już tak bardzo zmęczony...

Postać staje przed nim, jednak nie uderza. Joesein nie widzi twarzy, wie jednak, że jest obserwowany przez kogoś starszego i potężniejszego od siebie. Postać trzyma miecz opuszczony na dół, oparty o posadzkę. Nie zdążyłaby go użyć. Joesein zaciska palce na rękojeści swojej nowej broni.

– Joesein Tatteryl. Dawno nikt tutaj nie przyszedł. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś ominął to miejsce.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Niedobre pytanie. Na twoim miejscu chciałbym wiedzieć, skąd wiem, że zaraz pchniesz – mówi w tym samym momencie, w którym Joesein prostuje ramię

Uderza, a obcy odsuwa się w ostatniej chwili, tak że ostrze Joeseina mija go o cal. Joesein traci równowagę pociągnięty siłą ciosu, jednak jego przeciwnik nie wykorzystuje okazji do zakończenia walki. Po prostu patrzy.

– Najlepsi szermierze to ci nieobliczalni, o oczach niemówiących, co za chwilę zrobią. Zabójczy, bo nigdy nie zdołasz przewidzieć ich ciosu. Ty w swojej desperacji mógłbyś być tak samo groźny...

Wydaje się być całkowicie spokojny, wyzuty ze wszelkich uczuć. Odręca go ręką, nie unosząc nawet miecza. Odsuwa się przed kolejnym ciosem.

– Ja jestem niepokonany, bo wiem co ty zrobisz – mówi tym samym spokojnym, monotonnym głosem, odbijając kopjne ciosy Joeseina.

– Kim jesteś? – pyta ponownie Joesein, opuszczając broń.

Boi się, już nie kolejnego wyzwania, tylko walki z góry skazanej na porażkę. Nie tyle śmierci, co końca wszystkiego po całym wysiłku, na który się zdobył.

– Nie domyślasz się nawet, co to za miejsce. Powiem ci, zanim zginiesz. Jestem imaginacją. Twoją.

– Nie...

– Wiem, słyszę. Wyjaśnię ci, bo okazja do rozmowy trafia mi się raz na... długi czas. Jak tutaj dotarłeś? I od kiedy są tutaj Złoci ze swoim panem?

– Zaprowa...

– Tak, tak. Wybacz, nie będę ci przerywał. Mów do końca.

– Doszedłem po symbolach na ścianie. Od kilku lat, może dziesięciu.

– Nie miałeś światła... Jak na ironię, dopiero kierując się dotykiem, znalazłeś drogę... Mów. Sam sobie odpowiesz na wszystkie pytania.

– Jak? Nie wiem, co...

– Niech będzie. Zaczęło się porwaniami, zniknęły całe wioski, a całe połacie ziemi stawały się jałowe i nie rodziły plonów. Pojawiły się nocne demony spod znaku białej, sześcioramiennej gwiazdy. Nigdzie nie było bezpiecznie, a nawet w mieście codziennie znikali ludzie. Czy tak?

– A potem pojawili się Złoci i odbudowali Miasto, ostatni przyczółek. Ale jaki to ma związek z tobą, tym wszystkim tutaj? Co to ma z tym wspólnego?

– Wszystko. Wiare. Osaczyli was ludzie. Ludzie was zabijali i straszili. Ale wy widzieliście demony, nocne mary i upiory. Zaczynasz pojmować? Wasz strach ich umocnił, ale przede wszystkim zrobiła to wasza wiara.

– To wszystko nieprawda? Gra?

Kręci głową, jak gdyby przygnębiony.

– Gra? Nie. Szczękowrzaski nie są grą. Demony nie są grą. Ja też, już nie, ani Skręćwierki. Wasza wiara utrzymuje nas przy życiu, nadaje kształt. Widzisz to wszystko? Sami jesteście stwórcami swojego nieszczęścia.

– Ale jeśli... Skoro to wszystko istnieje, to jak możemy w to *nie* wierzyć?

– Może możecie. Może nie. Jesteśmy, bo nam na to pozwalacie, płacemy, zabijamy, *istniejemy*, ponieważ w nas wierzycie. Złoci rządzą miastem i bronią was przed Potworami Nocy, jednocześnie wyniszczając was równie skutecznie, jak zrobiłyby to demony. Ale w gruncie rzeczy to wy bronicie się przed samymi sobą – i sami siebie niszczyacie.

– Czemu mi o tym mówisz? Żeby mieć rozrywkę, zanim zginę? – mówi ze złością Joesein.

Uderza, ale tym razem już nie tak panicznie, bez przekonania. Ostrze ześlizguje się po klingie tamtego.

– Tak... i nie. Może dlatego, że się boję? Skręćwierki, wasze dobre duszki, które pokazały ci płaskorzeźby, albo wasze demony, będą istniały. Ale ja? Nikt już nie pamięta o Niepokonanym Szermierzu, nikt w niego nie wierzy. Jestem strażnikiem, ale znikam. Niebawem całkowicie się rozpułnę albo ktoś mnie zabije, kiedy nie zobaczę jego ciosu wcześniej. Taki nasz los, waszych wyobrażeń.

Zapada cisza, a Joesein nie wie, co ma powiedzieć czy zrobić. Odkłada na bok krótki miecz, nagle ciężki i nieporęczny.

– Idź – mówi nagle Szermierz zmienionym głosem.

– Co?

Wzdycha, ale powtarza, ochryplym głosem wydobywającym się z niewidocznych ust. Nawet teraz Joesein nie wie, jak wygląda tamten, nie widzi go, mimo że stoją twarzą w twarz. Jego wzrok prześlizguje się po miejscu, w którym powinny znajdować się usta, oczy, nos, jakby nie był w stanie zarejestrować fragmentu świata.

– Pokażę ci drogę do wyjścia. Zaniósę cię tam, jeśli będę musiał. Żyj ze swoją wiedzą i zrób z nią, co uważasz za stosowne. Zakończysz zniewolenie Miasta? Unicestwisz nas, tych dobrych i tych złych, czy pozwolisz nam istnieć?

Chwyta Joeseina za przegub, podtrzymuje drugim ramieniem i powoli prowadzi w głąb komnaty, między setkami kostiumów i makiet, teraz już będących rzeczywistością. Joesein czuje, jak powoli zamykają mu się oczy. Nie ma już siły, nawet prowadzony przez Szermierza.

– Zastanów się, co z nami zrobisz, Joeseinie Tatteryl. Pozwolisz nam żyć? Czy odbierzesz je nam? Prawo, by być prawdziwym? – szepcze mu do ucha Szermierz.

Są to ostatnie słowa, które zapamiętuje.

Joesein zakłada swój najcieplejszy – jedyny – płaszcz i rozgląda się po swojej skromnej izdebce, zastanawiając się, czy nie powinien wziąć czegoś jeszcze.

Rany zadane mu kilka dni temu nie były głębokie i goiły się szybko. Ataki Szczękowrzasków opierały się na liczbie, nie na sile pojedynczego ciosu. Pewnie do końca życia zostaną mu długie blizny, jednak zranienia nie były głębsze niż na jedną czwartą ciała. Nie ropywały i zabiłziały się dobrze. Joesein sądził że za nie więcej niż dwa tygodnie wróci do pełni sił.

Był bezpieczny – nikt nie szukał ofiar Labiryntu. Nie pracował już na zamku, a obecne, nowe zajęcie wystarczało, by się utrzymać, przynajmniej na razie. Mimo to Joesein wiedział, że będzie musiał ułożyć sobie wszystko od nowa. Co jednak mógł stracić, skoro w poprzednim życiu nie miał niczego?

Wszystko wróciłoby do normy – w Mieście bardzo szybko wszystko zamieniało się w rutynę. Jednak po raz pierwszy od dziesięciu lat Joesein czuł się... Nie potrafił tego określić, jednak to nie była rutyna.

Mleko dla Skręćwierków.

Napełnia miskę do pełna, chociaż sobie samemu nie należałby takiej porcji. Ostrożnie, trzymając ją w obu dłoniach, nie chcąc uronić ani kropli, podchodzi do drzwi, by wystawić ją za próg. Dopiero wtedy uświadamia sobie, co robi.

– Nasza wiara, to, co robimy, i to, jak myślimy – szepcze, cofając się o kilka kroków.

Wzdycha cicho i opuszcza głowę. Zatrzymuje się połowie drogi między stołem a drzwiami i stoi tak długo, pogrążony w myślach. W końcu na ułamek sekundy kąciki jego ust unoszą się do góry.

Wypuszcza z siebie powietrze i zdecydowanym krokiem podchodzi do drzwi. Otwiera je jedną ręką, ustawia na zewnątrz drewnianą miskę pełną mleka i zamyka je dokładnie. Waha się jeszcze ułamek sekundy, po czym odwraca się plecami od swojej chylącej się ku ziemi lepianki. Oddala się zwawym krokiem, opatulony szczelnie płaszczem, chcąc uchronić się przed zimnem wciskającym się pod każdy łąch. Znika szybko w mlecznobiałej mgłę unoszącej się nad Miastem. ◆

